NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 617·50 Marek, Półrocznie 1235 — Mk. Rocznie 2470·— Mk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 20 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 30·—, za wiersz petitowy w części redakcyjn. 50 Mp

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XX. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny). Telefon Nr. 473.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: **Julian Bartoszewicz.**

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. **„Promień", Łódz, Piotrkowska 81.**

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. **Numer pojedynczy 50 Marek.**

Rok XVIII. Kraków, 8 października 1921. Nr. 41.

Koronacya cudownego obrazu Matki Boskiej Różańcowej w Krakowie



Uroczysty akt koronacyi na Rynku krakowskim w dniu 2. października b. r.

Koronacya cudownego obrazu

Matki Boskiej Różańcowej w Krakowie.

W dniu 2. października b. r. był Rynek krakowski widownią podniosłej uroczystości, która zgromadziła tysiące ludu z bliższych i dalszych okolic. W dniu tym, w uroczystość Matki Boskiej Różańcowej, dokonał na Rynku krakowskim koronacyi cudownego Jej obrazu, przechowywanego w kościele OO. Dominikanów i otaczanego głęboką czcią i nabożeństwem, Książę Biskup krakowski.

Obraz Matki Boskiej Różańcowej, wsławiony licznymi cudami i związany ściśle z dziejami naszej Ojczyzny i miasta, pędzla, jak się zdaje, włoskiego, pochodzić ma z drugiej połowy szesnastego wieku, pierwsze o nim wyraźne zapiski rozpoczynają się w r. 1601. Akta klasztorne, odnoszące się do dziejów cudownego obrazu, spłonęły lub uległy zniszczeniu w czasie pożaru Krakowa w roku 1850, kiedy



Koronacya cudownego obrazu Matki Boskiej Różańcowej w Krakowie Łaskami słynący obraz Matki Boskiej Różańcowej, z kościoła OO. Dominikanów w Krakowie.

to kościół i klasztor dominikański padły pastwą płomieni. Obraz cudowny ocalał i z roku na rok gromadził u stóp tronu Królowej Korony Polskiej coraz liczniejsze zastępy szukających rady, pomocy i pociechy, lub dziękujących za otrzymane łaski. Oddawna też starali się OO. Dominikanie o doprowadzenie do skutku aktu koronacyjnego, co dopiero obecnie powiodło się dzięki zabiegom prowincyała O. Augustyna Pecska, przeora krakowskiego Konwentu O. Dominika Kożuika i O. Konstantego Zakiewicza, niestrudzonego badacza dziejów obrazu i autora jego monografii.

Koronacya, w której uczestniczyliśmy w dniu 2 października b. r. była złożeniem przez polskie społeczeństwo hołdu swej Królowej, a zarazem podziękowaniem za szczęśliwe ukończenie wojny i o uzyskanie politycznej samodzielności.

W dniu tym po poświęceniu koron i pontyfikalnej sumie, odprawionej w kościele OO. Dominikanów, wyruszyła na Rynek krakowski uroczysta procesya z cudownym obrazem, prowadzona przez ks. biskupa Sapiehę w asystencyi ks. biskupa Nowaka i infułata Wądolnego, Kapituły krakowskiej, setek duchowieństwa świeckiego i zakonnego i tysięcy wiernych. Wzięli w niej udział przedstawiciele władz cywilnych i wojskowych oraz instytucyi i stowarzyszeń katolickich. Przy umyślnie na ten cel ustawionym obok Sukiennic ołtarzu, dopełnił Ks. Biskup aktu koronacyi, udzielił cudownym obrazem błogosławieństwa zgromadzonym i całemu krajowi, poczem wygłosił podniosłe kazanie O. Konstanty Zakiewicz, jego historyograf. Obraz cudowny pozostawiono w ołtarzu aż do wieczora, a przez ten czas zmienił się Rynek krakowski w Świątynię Pańską. Tysiące pobożnych otaczały obraz swej Królowej, wznosząc do Niej gorące modły.

Wieczorem odbyła się doroczna procesya Różańcowa, po której obraz powrócił w mury dominikańskiego kościoła.

Uroczystości koronacyjne, poprzedzane trzydniowem nabożeństwem wstępnem, wypadły bardzo okazale, pozostawiając w sercach wiernych niezatarte wspomnienie, a wobec świata stanowiąc dowód, że *Polonia semper fidelis* i że postać Bogarodzicy głębokim u nas otacza na jest kultem. Zasługa to OO. Dominikanów, którzy nie szczędzili trudów i kosztów, byle tylko akt ten pietyzmu dla Najświętszej Maryi Panny odpowiedział godnie jej Majestatowi.

Uczczenie pamięci ofiar hajdamackiej dziczy.

Nasi „bracia“ Rusini, nazywający się dziś Ukraińcami, na krótki tylko czas dorwali się do rządów we wschodniej części Małopolski, potrafili jednak pokazać, jak pojmują zgodne współżycie obu narodowości. Rządy ich zapisały się na kartach dziejów tej najcięższej przez wojnę dotkniętej części kraju — krwawemi głoskami, a okrucieństwa, jakich dopuszczali się na osobach narodowości polskiej, wołają naprawdę o pomstę do nieba. Nie wszystkie z nich doszły do wiadomości publicznej, te jednak, które stały się głośnemi, wystarczą zupełnie do zdania sobie sprawy, jakie uczucia żywią oni wobec narodu polskiego i jaki los czeka naszych braci na wypadek, gdyby wschodnia część Małopolski znalazła się w ich władaniu.

Jedną z najohydniejszych zbrodni, jakich się wówczas na Polakach dopuszczono, to masowy mord dwudziestu dwu niewinnych ofiar, skazanych na śmierć i rozstrzelanych, jako posądzonych o zdradę stanu, na podwórzu złoczowskiego zamku.

Wieść o tej masakrze bolesnem echem rozeszła się po całej Polsce, budząc współczucie dla nieszczęśliwych ofiar hajdamackiej dziczy, a nazwiska ich, jako męczenników za narodową sprawę, przejdą do historyi, stanowiąc na wieki pamiątkę naszej martyrologii i hajdamackiego barbarzyństwa. Z chwilą nastania normalnych warunków zajęto się zaraz uczczeniem ich pamięci i rozpoczęto zbieranie składek na pokrycie kosztów budowy mauzoleum, w którem spocząć mają na wieki ich śmiertelne szczątki. — Składki na ten cel popłynęły obficie, w ubiegłym miesiącu ukończono budowę, a dzień 29 września przeznaczono na uroczyste przeniesienie zwłok pomordowanych do wspólnego grobowca. Dzień ten zmienił się w wielką manifestacyę żałobną, w której wzięła udział cała Polska, oddając w ten sposób zasłużony hołd ich pamięci.

Specyalnymi pociągami przybyła ze Lwowa tłumnie publiczność, składająca się z wszystkich warstw ludności. Z wszystkich zakątków Rzeczypospolitej przybyły stowarzyszenia i delegacye z wieńcami i sztandarami. O godzinie 9 rozpoczął się formować koło kościoła parafialnego pochód, złożony z około 20.000 uczestników, który dopiero około godziny 10.30 dotarł do wrót cmentarnych. Czoło pochodu stanowili skauci i skautki, dalej szły szkoły, „Sokoli“, policya państwowa, kolejarze lwowscy, kolejarze wszystkich miast wschodniej Małopolski, tramwajarze lwowscy z muzyką, lwowska straż pożarna, reprezentanci dyr. kolejowej z prezesem Barwiczem, delegacye stowarzyszeń „Gwiazda“, „Skała“, Izby rękodzielniczej, kupców lwowskich, Żydów złoczowskich, Związek strzelecki, delegacye wszystkich województw, wszystkich organizacyi narodowych, włościaństwa itd. Obok ołtarza na ławkach zasiadły rodziny pomordowanych, senat uniwersytetu z prof. Halbanem, przedstawiciele Sejmu, wojewoda Ołpiński, wojewoda Zimny, prez. Stahl oraz inni dygnitarze. Na lewo od ołtarza stanęły: szkoła kadetów, 12 dyw. piechoty z gen. Januszajtisem, płk. Maryański, Mączyński, oraz wielu innych wyższych dygnitarzy wojskowych.

O godzinie 11 ks. infułat Czajkowski, który również więziony był za czasów inwazyi bolszewickiej, w otoczeniu duchowieństwa odprawił mszę św. Po okolicznościowem kazaniu wygłosił dłuższą przemowę do żałobnych słuchaczy komisarz miasta Złoczowa dr. Kulaczkowski, który przedstawił martyrologię pomordowanych ofiar. Po okiliku jeszcze przemowach złożono zwłoki w mauzoleum, artystycznie wykonanem przez firmę „Ebezet“ według projektu inż. Grzymalskiego. Żelazną bramę wykonali maszyniści złoczowscy Dymidzki i Filipczak pod kierownictwem J. Bieniaka. Brama ta nosi napis: Ofiarom mordu 27/III. 1919 maszyniści złoczowscy. Na sklepieniu mauzoleum złożono następnie całą górę wieńców. O godzinie 4 po południu odbyła się w sali „Sokoła“ uroczysta Akademia.



Uczczenie pamięci ofiar hajdamackiej dziczy: Duchowieństwo z ks infułatem Czajkowskim na czele podczas składania trumien w mauzoleum.

Fot. M. Münz, Lwów.



Koronacya cudownego obrazu Matki Boskiej Różańcowej w Krakowie: Cudowny obraz i korony niesione w pochodzie procesyonalnym.





Uczczenie ofiar hajdamackiej dziczy: 1) Delegacye z wieńcami biorące udział w pochodzie, wkraczają na cmentarz złoczowski. 2) Msza św. polowa na cmentarzu złoczowskim podczas złożenia do wspólnego mauzoleum zwłok pomordowanych. Fot. M. Münz, Lwów.

W wspólnym grobie spoczęli skazani za rzekomą zdradę stanu i, po poprzedniem pastwieniu się nad nimi, rozstrzelani w dniach 27, 29 marca i 1 kwietnia 1919 roku: Leon Czepielewski pomocnik kancelaryjny lat 24; Zdzisław Czepielewski, student



Uczczenie pamięci ofiar hajdamackiej dziczy: Ceremonia pokropienia trumien pomordowanych. Fot. M. Münz, Lwów.

lat 21; Adolf Dębicki, urzędnik kolej. lat 35; Julian Herzog, uczeń gimn. lat 17; Rudolf Iłowski, robotnik kolejowy lat 21; Kazimierz Iżykiewicz, robotnik kol. lat 2 ; Włodzimierz Klimowicz, student lat 20; Stanisław Mazurek, uczeń gimn. lat 19; Marcin Mikluch, chłop z Lackiego lat 19; Maryan Nieć, inż. kol. lat 35; Piotr Nowakowski, naczelnik stacyi kol lat 51; Jerzy Podgórski, chorąży lat 2 ; Jan Schmalenberg żołnierz polski lat 20; Juliusz Starkl, kapt. lat 48; Michał Stefanowski, urz. kol. lat 44; Alfred Syma urz. kol. lat 34; Adam Szemberski, robotnik kol. lat 27; Edward Szemberski, rob. kol. lat 20; Marcin Tomczyszyn, chłop z Lackiego lat 19 i Ludwik Wolski, ziemianin, lat 24.

Lwów manifestuje swą polskość.

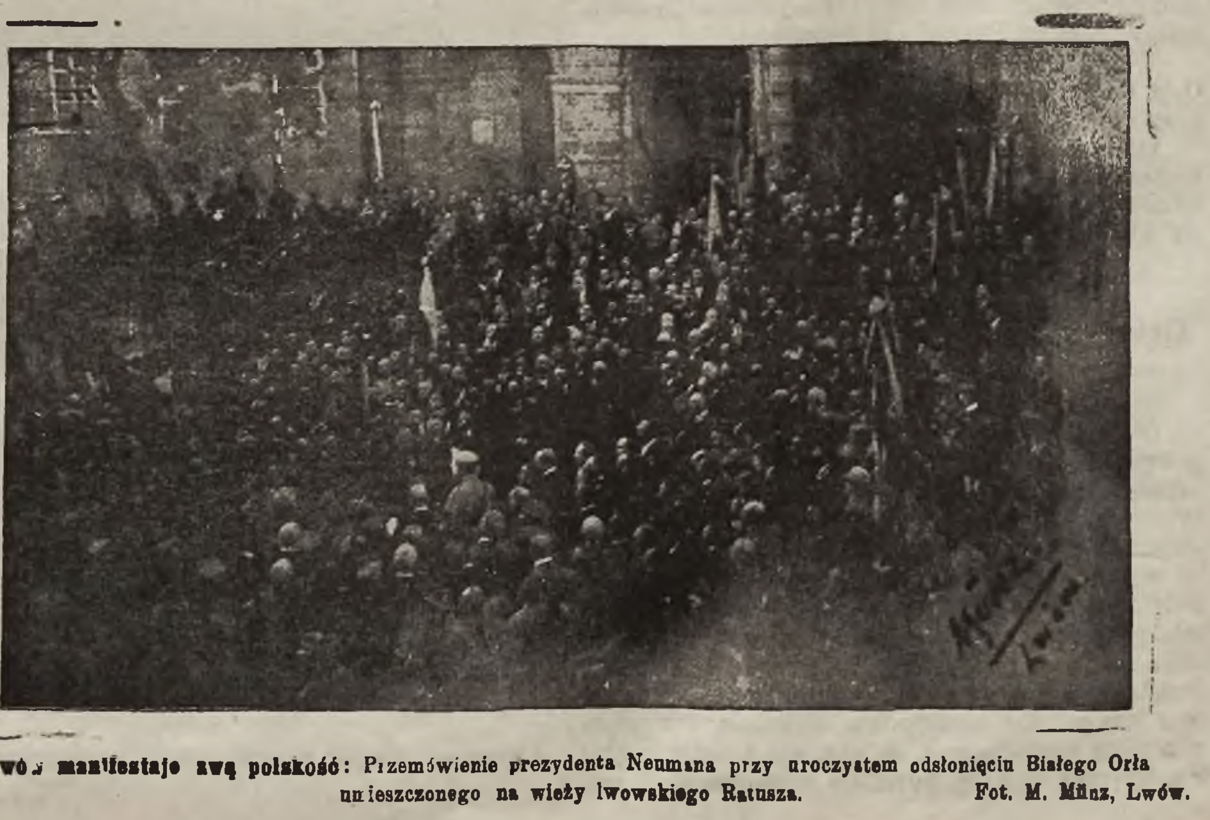
W chwili, gdy Liga Narodów ma się zająć załatwieniem sprawy wschodniej części Małopolski, którą decydujące czynniki koalicyjne uważają dotąd za okupowaną jedynie militarnie przez Polskę, a czekającą na ich rozstrzygnięcie komu ma przypaść, Lwów nie po raz pierwszy stwierdził, że jest miastem polskim, i że żadna siła nie zdoła go zmusić do zrzeczenia się najściślejszego połączenia z resztą Ojczyzny. Ukraińcy agitują i intrygują za granicą, aby decyzya Ligi Narodów wypadła na ich korzyść, to jest, aby utworzono z dzisiejszych województw: lwowskiego, tarnopolskiego i stanisławowskiego samodzielną „Zachodnią Ukrainę", Lwów jak gdyby w odpowiedzi na ich zakusy, manifestuje głośno swą polskość.

Niedziela, 25 września b. r. stała się dla Lwowa świętem prawdziwie narodowem. W dniu tym, korzystając z przybycia na otwarcie „Targów Wschodnich" Naczelnika Państwa i przedstawicieli zagranicy, odsłonięto w sposób bardzo uroczysty Białego Orła, który zajął miejsce dawnego dwugłowego i odtąd ma strożować naszej kresowej stolicy.

W doniosłym tym akcie wziął udział Naczelnik Państwa, Józef Piłsudski, który przybył w towarzystwie wojewody Grabowskiego, jen. St. Hallera i Lindego i swej przybocznej świty, oraz szereg wybitnych osobistości politycznych, członkowie prezydyum i reprezentacyi miejskiej, stowarzyszenia i organizacye narodowe i tysiączne rzesze obywatelstwa lwowskiego. U bramy ratusza tłum wielki się zebrał w chwili, gdy godło Państwa naszego osłonięte było białem płótnem. Punktualnie o g. 5. popołudniu poprzez gęste szpalery publiczności przyjechał na Rynek Naczelnik Państwa, witany entuzyastycznie przez zgromadzonych. Po odśpiewaniu kantaty przez chór „Echa", prezydent Neuman, powitawszy Naczelnika Państwa, przedstawił historyę ratusza lwowskiego. Po raz pierwszy ozdobiono wieżę ratuszową orłem polskim z początkiem XIII. w. za burmistrza Marcina Kampiana. Wieża ta runęła 14. lipca 1829 roku, a gdy już nową wieżę wybudowano, rząd austryacki ozdobił ją dwugłowym orłem, który tkwił tu aż do 3. maja 1919 r. W dniu tym zrzucono „gacka" austryackiego. Dokonał tego plutonowy wojska polskiego z oddziału elektrotechnicznego Tadeusz Matula, który piłką stalową, po kilkugodzinnej pracy odciął żelazne cielsko czarnego orła od żelaznego grubego słupa. Pomocny mu był w tem szeregowiec tego samego oddziału Stan. Drągała, oraz naczelnik miejskiej straży pożarnej Ciećkiewicz. Obecnie staraniem korporacyi ślusarskiej sporządzono z żelaznej, mocno ocynkowanej blachy orła polskiego, koronę, dziób i pazury pozłocono grubo złotem dukatowem — Werkmistrz Józef Drezowski i kapral straży pożarnej Grzegorz Bukała przytwierdził orła do tego samego słupa, na którym przez lat kilkadziesiąt usadowiono dwugłowca. Odtąd nad polskim Lwowem królować będzie na wieki ten nasz ptak ukochany i żadna już siła go stamtąd nie usunie.

Następnie w imieniu cechu ślusarskiego przełożony p. Gustaw Pammer zaznaczył, że zdobiący ukochane miasto srebrnopióry orzeł zabłyśnie od dnia dzisiejszego na wieży ratuszowej i zapanuje nad miastem, które tyle ofiar poniosło w obronie swej polskości. Imieniem cechu ślusarskiego ofiarował p. Pammer w ręce prezydenta grodu „orła wykutego pracą rąk naszych, by w miejsce dawnego symbolu zaboru i niewoli jako widomy znak wolności na wieży tej zabłysnął".

Po ślubowaniu, że brać cechowa od młota i kowadła stać będzie twardo na straży polskości grodu chór „Echa" odśpiewał hymn Nowowiejskiego z „Obrony Lwowa" — wkońcu prez. Neuman odczytał treść aktu pamiątkowego, który sporządzony



Lwów manifestuje swą polskość: Przemówienie prezydenta Neumana przy uroczystem odsłonięciu Białego Orła umieszczonego na wieży lwowskiego Ratusza. Fot. M. Münz, Lwów.



Lwów manifestuje swą polskość: Naczelnik Państwa w towarzystwie wojewody Grabowskiego i prezydenta Neumana podczas uroczystości odsłonięcia godła narodowego na lwowskim Ratuszu. Fot M. Münz, Lwów.

został na pergaminie i zalutowany w środkowej części orła na wieży ratuszowej. Akt ten opiewa:

W czwartym roku Zmartwychwstania Rzeczypospolitej Polskiej, za Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego, Wojewody Ziemi Lwowskiej Kazimierza Grabowskiego, kiedy na czele miasta stał Prezydent Józef Neuman — to godło Państwa umieszczono uroczyście na szczycie wieży ratusza dnia (24) września 1921. Orła tego ofiarowała Miastu korporacya majstrów ślusarskich, której przewodniczącym był podówczas Gustaw Pammer. Wykonał go Franciszek Będkowski, majster ślusarski, przy pomocy werkmistrza Józefa Drezowskiego według rysunku architekty Władysława Czerwińskiego, docenta Politechniki lwowskiej.

Wznoś się, władaj nad nami po wieczne czasy Orle Biały na szczęście, chwałę i pożytek Rzeczypospolitej".

Orkiestra zagrała hymn narodowy, przyczem spadła zasłona i oczom tysięcy obywateli miasta odsłonił się majestatyczny Orzeł Biały. Na szczycie wieży ratuszowej trębacze odegrali aryę „Roty".

Otwarcie „Targów Wschodnich" we Lwowie.

Stwierdzeniem powolnego lecz systematycznego powracania naszych ekonomicznych stosunków na normalne tory jest urządzenie we Lwowie „Targów Wschodnich". Przedsięwzięcie to wydawało się niejednemu zbyt ryzykownem, choćby tylko ze względu na wybór miejsca w tej części kraju, która w ciągu światowej wojny najbardziej ucierpiała. Obawy o powodzenie targów i osiągnięcie zamierzonego celu okazały się bezpodstawne. I miejsce w jakiem je urządzono i czas na jaki przypadły i wszystkie inne okoliczności złożyły się na całość tak odpowiadającą zamierzeniom, iż obudziły podziw ogólny i zadowoliły najdalej posunięte wymagania. Transakcye handlowe, jakich tam dokonano, idą w dziesiątki miliardów, ożywienie wzrasta z dnia na dzień, tak, że czas ich trwania musiano nadprogramowo przedłużyć o cały tydzień.

W dniu 25 września, w którym Lwów zamanifestował swą polskość, umieszczając na szczycie wieży Ratuszowej Białego Orła, był zarazem dniem otwarcia „Targów Wschodnich". Stanowić on będzie w dziejach lwiego grodu punkt zwrotny. Lwów odzyska dawne swe znaczenie, jakie miał całe wieki, jako ognisko handlu między Polską i Zachodem a Wschodem. Polski Lwów wskrzesza zatem swe świetne wiekowe tradycye, stając się napowrót tem samem w oswobodzonej Rzeczypospolitej, czem był za czasów sławnej pamięci naszych królów, nim nas przemoc wroga rozdarła na trzy części.

Na dzień otwarcia „Targów", na które przybył Naczelnik Państwa, przedstawiciele Sejmu, Rządu, państw zaprzyjaźnionych i t. d.. przybrał Lwów uroczystą szatę, a tłumy ludności wyległy na ulice, któremi z dworca kolejowego mieli przejeżdżać goście do Katedry, stąd zaś na Plac Powystawowy, nazywany dziś Placem Wschodnim.

Na peronie oczekiwali Naczelnika: wojewoda p. Grabowski, b. minister Dąbski, prezydent miasta Neuman, wraz z wiceprezydentami dr. Stahlem i dr. Schleicherem, poseł Głąbiński, prezes kolei p. Barwicz z wiceprezesem Nosowiczem, reprezentanci izr. gminy wyznaniowej dr. Diamant i dr. Guttman, dalej reprezentanci wojskowości mianowicie szef sztabu jen. Sikorski, jen. Haller, jen. Linde, pułk. Mączyński. pułk. Jasiński. misya francuska i angielska, dalej grono wyższych oficerów, kompania honorowa 19 p. i orkiestra.

O godz. 10·15, zajechał na peròn specyalny pociąg, który przywiózł reprezentantów Rządu, oraz posłów z marszałkiem Trąmpczyńskim na czele. Puntualnie o godz. 11. zajechał pociąg wiozący Naczelnika. Muzyka odegrała hymn narodowy, w czasie którego p. Neuman powitał Naczelnika imieniem miasta, poczem Naczelnik odebrał raport od komendanta kompanii honorowej, przeszedł przed frontem kompanii i w towarzystwie wojewody Grabowskiego w otoczeniu szwadronu ułanów odjechał na nabożeństwo do katedry, gorąco witany po drodze przez całą ludność.

W obecności Naczelnika-Państwa, reprezentantów zaprzyjaźnionych mocarstw zagranicznych, przedstawicieli Sejmu, prawie, że w obecności całego miasta otwarto uroczyście pierwsze „Targi Wschodnie". U wejścia silna straż policyjno-wojskowa puszczała tylko osoby zaopatrzone w zaproszenia. Około godz. pół do 12 ustawili się na schodach wiodących do Pałacu Sztuki członkowie Rady miejskiej z wiceprezydentami dr. Stahlem, Obirkiem i Schleiche-





Otwarcie „Targów Wschodnich" we Lwowie: Naczelnik Państwa z wojewodą Grabowskim (w powozie) i misya francuska (w samochodzie) po nabożeństwie inauguracyjnem w Katedrze lwowskiej. Fot. M. Münz. Lwów.



Otwarcie „Targów Wschodnich" we Lwowie: Tłumy przed Pałacem Sztuki w czasie aktu uroczystego otwarcia Targów. Fot. M. Münz Lwów.

MATYLDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA
MARYA TOCZYSKA

I.

Nigdy w życiu mojem nie widziałem rysów tak klasycznych, tak czystych w liniach! Nie spotkałem nigdy ciała tak doskonałego i tak wytwornego w ruchu każdym!

Nie podziwiałem nigdy twarzy kobiecej tak harmonijnej w wyrazie słodyczy i dumy na niej rozlanej.

Twarz ta była może więcej dumna niż słodka, bo przeświadczenie o swojej wielkiej piękności i hołdy odbierane od wszystkich, którzy się do niej zbliżali, napełniały jej duszę dumą i pewnością siebie. Później, dusza ta ugięła się pod twardą ręką przeznaczenia — nie pod moją, niestety! — i stała się naprawdę słodką i łagodną — ale także nie dla mnie niestety!

Lecz duma jej była olbrzymia — większa nawet niż moja, a przecież ja byłem panem narodów i władcą dusz cudzych!

Marya Kabib była żoną starego żyda, starszego od niej o przeszło lat trzydzieści. Miała z nim jedno tylko dziecko, córkę pięcioletnią, która dziwnie podobną była do niej. Żyli w Moskwie już kilka lat, lecz nie byli Rosyanami, pochodzili z Niemiec.

Żona starego Kabiba nosiła imię Myriam, ale przez kaprys przeistoczyła to imię na imię Maryi, matki Chrystusa.

Spostrzegłem później — o wiele później, że nie był to zwyczajny kaprys, lecz myśl głęboko w niej ukryta!

Kabibowie żyli w dostatkach, gdyż stary zajmował się handlem cennych klejnotów — specyalnie szmaragdów i turkusów.

Mówiono nawet, że stary Kabib był bardzo bogaty i że ukrywał pieniądze w obawie kradzieży lub prześladowania. Marya lubiła zbytek i przyjemności, ale mąż jej niechętnie ulegał jej pragnieniom i zachciankom. Chciała pokazać się, błyszczeć między ludźmi, lecz Mojżesz nie pozwalał na żadne zbytki, co też było przyczyną ich częstych nieporozumień.

Kilka razy — dowiedziałem się o tem później — Marya Kabib zagroziła mężowi ucieczką z domu i zabraniem ze sobą małej Racheli, którą ubóstwiała. Czy Mojżesz kochał swoją żonę? Zdaje się, że nie. On kochał zanadto pieniądze, aby móc kochać kogokolwiek. Żona zaś jego nie ceniła dostatecznie tych pieniędzy i to było źródłem jego zmartwienia.

Czy był on zazdrosny o Maryę? Tego odgadnąć nie mogłem. Wiem tylko, że Marya była otoczona wielbicielami, a on jej nie zdawał się na to zwracać uwagi. Marya zresztą odnosiła się do swoich wielbicieli zawsze z wielką dumą i pogardą. Żaden z nich nie wzbudził w niej głębszego uczucia. Jeden tylko, młody student niemiecki, Johann Straube, przyjmowany był przez nią z większem zainteresowaniem i grzecznością. Ten młody człowiek był jednak chrześcijaninem i nie mógł budzić niepokoju żadnego. Żydówka może stać się niewierną względem swojego męża, ale nie zdradzi go dla człowieka innej narodowości i wyznania.

Takiem było wówczas moje przekonanie — ale wkrótce miałem się przekonać niestety, że było mylnem. Poznałem po raz pierwszy Maryę Kabib w synagodze w Moskwie. Znajdowała się w pierwszym rzędzie pomiędzy kobietami i kiedy po raz pierwszy oczy moje spoczęły na niej, uczułem w piersi płomień gorący, ten płomień nieomylny, który jest zwiastunem wielkich namiętności. Nigdy jeszcze kobieta nie uczyniła na mnie podobnego wrażenia. Podczas całej ceremonii nie odrywałem spojrzenia od Maryi. Ona nie modliła się także. Spojrzenie jej roztargnione, jak gdyby zajęte jakąś myślą ukrytą, błądziło po świątyni i po otoczeniu. Była bardzo bogato ubraną i miała na sobie wiele cennych kosztowności, ręce jej białe i okrągłe pokryte były bransoletami. I zaraz tam, w synagodze, pomyślałem, że abym móc złożyć pocałunek na tych pięknych, toczonych ramionach, oddałbym całą moją wiedzę i życie.

W epoce tej byłem jeszcze bardzo wierzący i nabożny i natychmiast ogarnął mnie silny wyrzut sumienia za to świętokradzkie moje pragnienie.

Zostałem też za nie bezzwłocznie ukarany, bo Marya ani razu nie spojrzała w moją stronę. Po chwili podeszła do męża i oboje wyszli razem z synagogi. Znałem już Mojżesza Kabiba, ukłoniłem się mu więc, kiedy przechodzili obok mnie. Stary odpowiedział na mój ukłon, ona zaś przeszła z głową wysoko podniesioną. Od dnia tego rozpoczęły się wszystkie moje cierpienia i stawały się z dniem każdym dotkliwsze i przykrzejsze. Cierpienia nie zakończyły się nigdy — zakończą się wówczas dopiero, kiedy skreślę ostatnie słowa tej spowiedzi.

To pierwsze spotkanie miało się stać symbolem tego, co uczyniła ze mnie ta fatalna, szalona namiętność dla tej kobiety i stało się przyczyną jej śmierci i mojej.

Nazajutrz po poznaniu Maryi w synagodze, czyniłem starania, aby ją zabrać. Już mnie nic rozdzielić nie mogło od tej kobiety, która w ciągu jednej godziny zdołała zabrać całą moją duszę i na zawsze ujarzmić moje zmysły.

Żyłem w dosyć dobrych stosunkach z Mojżeszem Kabib. Nie wiem, z jakiej przyczyny, zauważyłem kilkakrotnie, że on uczuwał jakiś lęk przedemną. Poszedłem po niego na giełdę, z zamiarem wproszenia się w jakiś sposób do jego domu. Ale znalazłem go zimnym i zamkniętym w sobie, bo żydzi wogóle niechętnie pokazują swoje żony, nawet współwyznawcom.

Zrozumiałem wówczas, że poważne przeszkody oddzielają mnie od kobiety, którą pokochałem od pierwszego wejrzenia, że równocześnie zrozumiałem także, że wszystkie siły moje i wysiłki poświęcę sprawie zniszczenia tych trudności.

Teraz już moja wygórowana ambicya miała przyczynę bytu! Potrafię, choć brzydki i garbaty, stać się tak bogatym i potężnym, że zdobędę w końcu tę kobietę. Marya Kabib wydała mi się zresztą kobietą również bardzo ambitną i dumną — a wiadomo, że z podobnemi istotami dojść do porozumienia nie zawsze można.

Moja potęga magnetyczna, która w krajach mniej egzaltowanych niż Rosya, byłaby osiągnęła mniej powodzenia — ściągnęła już tutaj koło siebie sam kwiat arystokratycznego towarzystwa Moskwy. Poza tem podróżowałem bezustannie, wyjeżdżając do Odessy, Petersburga, Kijowa i Warszawy. Przywoływano mnie tam nawet nocą dla porad dyskretnych, sowicie opłacanych, przez ludzi którzy duchowo stali się już moimi niewolnikami.

Chociaż na razie więc dostęp do Maryi Kabib był mi wzbroniony, nie traciłem jednak nadziei, że ujarzmię tę duszę odporną i dumną.

Pomału już nawet, pracując nad planem moim codziennie, potrafiłem już owładnąć umysłem Mojżesza Kabiba. Człowiek ten w głębi rzeczy posiadał duszę mistyczną i gorącą. Była to szczególna mieszanina bankiera i marzyciela, człowieka, który nie lękał się ludzi, lecz widm, człowieka, który z zimną krwią ograbiłby rodzonego brata, lecz w którym hypnotyzm budził lęk niewytłumaczony i niepokój, pociągając go równocześnie niezwalczonym urokiem i pragnieniem zatapiania się w jego objawach.

Urządziłem się w ten sposób, że namową i suggestyą zmusiłem starego, aby był kilka razy świadkiem moich seansów i za każdym razem zdradzał obawę nienaturalną, patrząc na mnie zdumionym, niespokojnym wzrokiem, jakgdyby mnie miał za istotę wszechpotężną, wywołującą cuda.

Czułem więc, że oddziaływać mogę zwycięsko na tego nieświadomego, prostego człowieka — czułem, że pomimo jego podstępów i ostrożności, zawładnąć mogę jego umysłem, aby następnie stać się panem kobiety, którą posiadał.

Chociaż namiętność moja do Maryi wzrastała z dniem każdym, nie żywiłem jeszcze żadnych konkretnych nadziei w stosunku do niej.

Kilka razy danem mi było ujrzeć ją, ale zawsze w miejscu publicznem, w towarzystwie męża, wytwornie i bogato ubraną, pokrytą klejnotami wielkiej wartości. I zawsze widziałem ją dumną i milczącą, nie raczącą nawet obdarzyć mnie jednem spojrzeniem swoich przepysznych, czarnych oczu.

To zimne, pogardliwe zachowanie się jej wobec mnie napełniało mnie wściekłością, ale umiałem już wówczas tak dobrze panować nad sobą, że nigdy nie zdradziłem się ze swoimi uczuciami. Nie starałem się nawet wejść w dom Mojżesza Kabiba, zanim nie nabyłem pewności, że wszystko co zechcę, uczynić mogę z tym człowiekiem.

Chciałem mu zabrać żonę, ale żeby dojść do tego, on musiał się stać najpierw moim niewolnikiem. Tymczasem musiałem ujarzmić moją szaloną namiętność, wybuchającą płomieniem, ilekroć zdarzyło się, że mogłem spojrzeć na ukochaną przezemnie kobietę.

Oh! Boże! jakież ja piekielne męki przeżyłem w tym czasie!

Ale wówczas żywiłem w sobie cudowną nadzieję, że Marya kiedyś będzie należeć do mnie, cieszyłem się pewnością, że posiadać będę jej piękne ciało wraz z jej duszą uległą i mnie oddaną.

Ta nadzieja i ta pewność podtrzymywała mnie przez dłuższy czas, który zużyć musiałem na wprowadzenie nieznaczne Mojżesza w zasadzkę, przezemnie zastawioną tak zręcznie i zuchwale, że się już nigdy z niej wydobyć nie mógł.

Tymczasem zaś, aby się pocieszyć trochę w tej mrówczej i podstępnej pracy wokoło przyszłego mojego szczęścia, naprowadzałem starego Mojżesza na detaliczne opowiadanie o Maryi, tyczące się jej przeszłości i obecnego jej życia.

Wspominałem już, że Marya żywiła pewne uczucie dla niejakiego Johanna Straube, Niemca, który w tym czasie, zostawszy profesorem filozofii, postarał się o katedrę w Moskwie, aby żyć blisko kobiety, którą kochał od lat dziecinnych.

Po raz pierwszy wywarłem suggestyę swoją na Mojżeszu Kabibie, zmuszając go, aby zamknął dom swój przed tym podejrzanym dla mnie gościem, który dotąd budził w mężu Maryi zaufanie spokojne. I po raz pierwszy wówczas podrażniłem Maryę, która opierała się silnie namowom, a następnie rozkazowi swojego męża. Musiała zrozumieć, że jakaś wola silniejsza od jej wdzięków działała tutaj i że jakaś ukryta potęga walczyła przeciwko jej miłości, rodzącej się już może dla Johanna Straube. Tę pierwszą próbę władzy przeprowadziłem zwycięsko zupełnie.

Marya nie przebaczyła tego teroru swojemu mężowi i aby go ukarać — i może mnie także zapewne — zamknęła się w domu swoim i nie wyszła z niego przez kilka miesięcy. Przez ten czas nie widziałem jej wcale.

Jednakże przy pomocy mojej sekretnej policyi — a zorganizowałem ją doskonale — mogłem się dowiedzieć, że koresponduje z młodym profesorem. Udało mi się nawet przejąć kilka tych listów.

Pisała do tego nędznika w słowach pełnych uczucia i namiętności, zdradzających, że od lat paru była jego kochanką.

Zachowałem te fatalne listy, źródło najokropniejszych moich tortur i dziś jeszcze odczytuję je przed śmiercią, aby rozkrawać do reszty ranę mojego serca nigdy nie zasklepioną.

Z kilku listów dowiedziałem się również, że Marya Kabib widuje się potajemnie z Johannem Straubem, ale dopiero później, daleko później, dowiedziałem się, w jaki sposób i gdzie miały miejsce te schadzki.

Od tej chwili śmierć młodego profesora była już dla mnie niezłomnie postanowioną. Dotąd nie zabiłem jeszcze nikogo, nie dlatego, abym się obawiał ewentualnych skutków morderstwa lub wyrzutów sumienia, ale dla tej przyczyny, że nie potrzebowałem uciekać się aż do tego środka, aby uczynić kogoś rzeczą swoją nieszkodliwą i bezbronną.

Zazdrosny aż do wściekłości o tego młodego Niemca, który posiadał tę przewagę nademną, iż był piękny i młody, zaprzysiągłem sobie, że, jeżeli w inny sposób nie uda mi się zerwać ten węzeł miłości, łączący go z Maryą — zabiję go przy najbliższej sposobności. Wyznam później, w jaki sposób dokonałem tej zbrodni, która nie okazała się bezcelową, chociaż przyczyniła się jeszcze więcej do oddalenia odemnie Maryi Kabib. Tymczasem zaś zapanowałem już zupełnie nad umysłem Mojżesza Kabiba i stanąłem na czele wszystkich żydów rosyjskich i polskich.

Dom mój w Moskwie stał się punktem zbornym, do którego zbiegali się żydzi z całego kraju po rozkazy, rady lub pomoc. Przybywali oni zawsze nocą, aby ujść przed oczami policyi, składali u mnie pieniądze, czynili narady, organizowali nowe programy ekonomiczne, obrony wzajemnej i walki ukrytej, którą się żydzi posługują zawsze, w jakimkolwiek znajdą się kraju.

Ciąg dalszy nastąpi.

JADWIGA MIGOWA.

PANTERKA

(Powieść współczesna).

7)

— Bynajmniej, tylko trochę inaczej ukształtowało się moje życie i dlatego muszę więcej myśleć.

— Pani ma ciężkie warunki życia? utrzymuje pani może rodzinę? no, to byłoby trochę trudno, z tej pensyi.

— Praca, to nie najcięższa rzecz w życiu.

— A cóż? – zapytał szczerze zaciekawiony — co też tak zaciężyło na losach tej cichej, pracowitej dziewczyny, że sprawiała wrażenie ptaka o związanych skrzydłach.

— Dużoby o tem mówić — powiedziała spokojnie — a nie warto.

— Dlaczegóż nie warto?

— Bo to są rzeczy wyłącznie osobiste, takie własne, które obcych nie interesują.

Nie wiedział sam dlaczego, ale sprawiło mu to chwilową przykrość, że Bronka nazwała go obcym. Nie mógł jej zaprzeczyć, był dla niej zupełnie obcym, dotychczas rzadko kiedy zamieniał z nią więcej ponad parę zdań w sprawach ściśle biurowych. Skądże mogła mieć do niego zaufanie i opowiadać mu o tem, co jej cięży, co ją smuci. Zwłaszcza, że robi wrażenie skrytej i nieufnej.

Przypomniał sobie, że tyle innych kobiet przy pierwszem spotkaniu spowiadało się przed nim z najtajniejszych czasem przeżyć. Twierdziły, że on umie tak doskonale słuchać! Ta widocznie jest inna, nie lubi mówić dużo, choć, zdaje się, że miałaby więcej niż tamte do powiedzenia.

— Piszemy dalej, proszę pana?

— W tej chwili — podszedł do biurka i przeglądał jakieś notatki.

Bronka, odwróciwszy się od maszyny, objęła spojrzeniem jego piękną, rasową głowę.

— Czy słyszysz ty, to nieme wołanie mojego serca? czy usłyszysz je kiedykolwiek?... ty cudny, najpiękniejszy. Coś mi zabłysnął w szarzyźnie życia jak królewicz z bajki, jak słoneczne marzenia o szczęściu... głucha jest dusza twoja na głos mojej rozpaczy i tęsknoty... nie dojdzie do niej krzyk, co niesie się poprzez czarną, nieprzespaną noc, w czasie której ból wzgardzonego kochania na piersi się kładzie, a łzy płynące ulgi nie przynoszą, lecz jak krople roztopionego ołowiu padają na serce... Nie słyszysz skargi, nie słyszysz jęku męki, bo nie rozumiesz mowy ust, które milczą!... I nie dowiesz się nigdy, nigdy, jak bardzo cię kocham, bo byś najczystszy kwiat mej miłości rzucił pod nogi pierwszej lepszej gęsi albo ladacznicy w lakierowanych pantofelkach...

Królecki przerwał nagle swą pracę:

— Pani mówiła coś do mnie?

Drgnęła silnie.

— Nie, nic nie mówiłam...

— To dziwne, zdawało mi się, że wyraźnie głos pani...

— Istotnie, to dziwne — szepnęła tak cicho, że prawie niedosłyszalnie...

Roman zaczął znowu dyktować. Klawisze maszyny zaklekotały, smukłe palce Bronki biegały po nich szybko, ale oczy odrywały się co chwila i brały w siebie, wchłaniały piękność twarzy męskiej tak rasowej i junackiej, jakby ze starego portretu wykrojonej... Dziewczyna coraz silniej wytężać musiała uwagę, coraz intensywniej skupiać całą moc woli, aby zapanować nad słodkiem omdleniem, przenikającem zmysły, zaślepione czarem piękna, upojone melodyą metalicznego, głębokiego głosu, rozkołysane rozkoszną bliskością ukochanego...

To czarowne sam na sam przerwało nagle wtargnięcie Juliana Woźniewicza, który wbrew swemu zwyczajowi otworzył drzwi ze stukiem, wszedł wielkimi krokami i zapomniał się ukłonić... Anemiczny młodzieniec bledszy był niż zwykle, tylko oczy mu jakoś dziwnie, niemal dziko błyszczały...

— Romek!... słuchaj...

— Co się stało?...

— Mam do ciebie niesłychanie ważną sprawę!...

Roman skrzywił się lekko niezadowolony, że mu przerywają pracę.

— Zaraz? w tej chwili? Nie możesz poczekać?

— Nie!... nie!... muszę ci to powiedzieć... poprosić cię...

— O co?

— Żebyś był moim sekundantem!...

Romanowi kartki papieru wyleciały z ręki na podłogę. Bronka, której Woźniewicz zdawał się nie wiedzieć, podniosła wzrok zdumiony.

— Co?! Ty chcesz się pojedynkować?! Z kim? o co?! Miałeś jaką awanturę?!...

— To nie o awanturę chodzi, ale o coś stokrotnie ważniejszego!.. Muszę wyzwać Chaniewskiego!...

— Kogo?!

— No, mówię... Chaniewskiego!...

— Naszego dyrektora?!...

— Tak jest, właśnie jego!...

Roman był tak zaskoczony, że na chwilę oniemiał i znieruchomiał. Natomiast Bronka kiwnęła znacząco głową, jakby powiedzieć chciała: „aha! już rozumiem wszystko!"

— Oszalałeś, czy co? Gorączkę masz? — zawołał wreszcie Królecki, odzyskawszy głos. — Co ci znów do głowy strzeliło?... I dlaczego?...

— Więc pytam — będziesz moim sekundantem? — nalegał dalej Woźniewicz. Na jego blade policzki wystąpiły okrągłe, ceglastoczerwone plamy.

— Poczekaj!... Co ci Chaniewski zrobił?... Bo to, uważasz, własnego szefa wyzwać na pojedynek... Musi być jakiś porządny powód... Obraził cię?

— Tu nie o mnie bezpośrednio chodzi...

— Więc o kogóż?

— O cześć kobiety!... o przyszłość, o los młodej, niewinnej dziewczyny, na którą czyha podły człowiek!... ja go...

W oczach Romana zamigotało coś jak śmiech.

— Aha! już jestem w domu!... Coś mi się o uszy obiło!...

— A widzisz!... widzisz!...

— Widzę, że masz bzika... Słuchajno mój Donkiszocie...

— Żartujesz sobie?! Romku!... Ach! gdybyś wiedział wszystko!...

Roman wykonał gest zniecierpliwienia.

— Ależ wiem, wiem... aż zanadto!... i dlatego ci mówię: każ sobie zrobić na głowę okład z lodu...

Woźniewicz zaciął usta i spojrzał na kolegę z bezmiernem rozżaleniem.

— Nie spodziewałem się tego po tobie!... Zwrócę się zatem do kogo innego.

Obrócił się ku drzwiom, jakby chciał odejść. Roman jednak zatrzymał go, kładąc mu rękę na ramieniu.

— Słuchajże, waryacie, nie rób głupstw... Wierzaj mi, że twoja Dulcynea nie byłaby ci za to wcale wdzięczną...

— Romanie! ja nie pozwolę nikomu... nawet tobie...

— Masz tobie, teraz gotowy jesteś wyzwać mnie na pojedynek!... Julek, ty wiesz o tem, że cię serdecznie lubię i że ci zawsze nieźle radziłem... No cóż, nieprawda?...

— Prawda — przyznał Julian — ale w tym wypadku...

— I w tym wypadku musisz postąpić według mojej rady!... Otóż pójdziesz teraz spokojnie do swej roboty, napijesz się parę szklanek zimnej wody, a potem filiżankę gorącej herbaty, żebyś się nie przeziębił, a potem koło godziny czwartej po południu przyjdziesz do mnie i wtedy pogadamy...

— Ja nie mogę czekać do... — zawołał Julian trochę już jednak mniej pewnie.

— Musisz poczekać!... Takich spraw nie rozstrzyga się na kolanie. Pomyślno, że masz matkę i pewne obowiązki...

Stanowczość i energia Króleckiego wywierały zawsze bardzo silny wpływ na Woźniewicza. Bywały nawet momenty, że ten magnetyczny wpływ odnosił chwilowe zwycięstwo nad urokiem zielonych oczu Stefki Łączkówny.

Spokój i niezłomne przekonanie z jakiem Królecki mówił — podziałały i teraz.

— Więc dobrze. Idę. Zaczekam do czwartej pamiętaj, tylko do czwartej...

— Przedtem nie zrobisz na własną rękę żadnego głupstwa? Słowo honoru?

— Słowo.

Podali sobie ręce i Woźniewicz opuścił pokój. Roman potarł ręką czoło:

— Psiakrew!... idyotyczna historya... Biedny chłopak...

— Biedny! — powtórzyła Bronka.

— No i z tem wszystkiem jest jednak solidnie głupi!... Żeby do tego stopnia być zaślepionym...

— On ją tak kocha!...

— Więc pani wie o co chodzi?

— Naturalnie, że wiem... Przecież całe biuro już mówi o tem, dlaczego Łączkówna...

Urwała nagle. Zapiekło ją to nazwisko w gardle. W mózgu z nieznośną fotograficzną dokładnością odzwierciedliła się scena: Roman z przytuloną do jego ramienia Stefką.

Machnął ręką lekceważąco:

— I żeby to miał dla kogo...

— Jakto, więc panu nie podoba się Łączkówna? — twarz Bronki przy tem pytaniu znowu spłonęła różową łuną krwi.

Roman odwrócił nieco głowę. Nie patrzał jej w oczy. Był trochę zmięszany.

— Podoba... nie podoba... Pani stawia kwestyę tak kategorycznie... To jest bezwątpienia ładna dziewczyna... Ale niepodobna brać jej na seryo... No mniejsza z tem...

— Czy będziemy pisać dalej?

— Dzisiaj już nie. Ten narwaniec zepsuł mi nastrój do pracy... Trzeba jednak pomyśleć, żeby on zbyt wielkiego byka nie strzelił... Szkoda chłopaka...

Bronka wstała od maszyny powoli, nie spiesząc się... Tak się jej nie chciało stąd odchodzić.

— Panno Bronisławo...

— Po raz trzeci zarumieniła się. Drobna pierś zafalowała pod ciemną bluzką. On nazwał ją po imieniu!... On zna, on pamięta jej imię!...

— Słucham pana.

— Mam do pani wielką prośbę.

— Pan... prośbę... do mnie?... Słucham.

— Otóż tak jest... Jak pani może wiadomo lub nie wiadomo... oprócz obrabiania biurowych „kawałków", mam jeszcze inne aspiracye... Między innemi żywię chwalebny projekt zrobienia doktoratu z filozofii... Mam już temat do pracy doktorskiej i poczyniłem mnóstwo notatek... Wszystko to jeszcze nieuporządkowane, chaotyczne, ale gdybym mógł mieć pomoc takiej doskonałej daktylografki... jak pani...

Oczy Bronki zajaśniały jak gwiazdy w najpiękniejszą noc letnią.

— Ależ doskonale!... Powinien pan koniecznie zdać doktorat!... I jakiż to temat?

— Straszna „piła": „Najnowsze teorye w estetyce współczesnej, a imperatyw kategoryczny Kanta". Swoją drogą wszystkie notatki leżą w nieładzie, że nie wiem, jak z tego wybrnę...

— Możeby pan dał mi je do przejrzenia... Ten przedmiot nie jest mi zupełnie obcy...

— Co? pani studyuje Kanta?!

— Och!... studyuję... to zbyt górnolotne wyrażenie... Zajmowałam się filozofią trochę... tak po dyletancku, ale sądzę, że to wystarczy...

— Pani jest doprawdy cudowna!... I zgodziłaby się pani!...

— Naturalnie, jak najchętniej!...

Ciepła fala uszczęśliwienia zalewała mózg i serce dziewczyny.

— Dziękuję pani. Zatem chodzi o czas i miejsce...

— Naturalnie w godzinach pozabiurowych...

— Dokładniej umówimy się jutro... Co zaś do miejsca... Tutaj byłoby trudno... — przerwał i spojrzał na nią wahająco.

— Czy... czy pani zdecydowałaby się przychodzić do mnie?... Postarałbym się tak to zaranżować, aby opinia...

Bronka odrzuciła energicznie w tył czarnowłosą głowę. Co jej tam opinia, gdy przyświeca jej nadzieja, że będzie mogła widywać go codziennie, słuchać jego głosu, być mu pomocną.

— Nie dbam o to. To przecież chodzi o rzecz poważną, o pańską pracę doktorską...

— Zatem — układ zrobiony... A co do honoraryum...

Promieniejąca twarz Bronki przygasła znowu, pociemniała, zszarzała...

— Proszę mi nie mówić o honoraryum...

(Ciąg dalszy nastąpi).

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłómaczenie z angielskiego Marji Starzewskiej.

TOM II.

— Pragnąłbym... ah, jakbym pragnął, żebyście byli oboje lepszymi przyjaciółmi — rzekł w końcu.

— Po wszystkiem, co tobie powiedziałam! — zawołała z goryczą.

— Wiem, wiem, a teraz, kiedy uratował mi życie!

— Są rzeczy, których kobieta nie może nigdy zapomnieć, Nigel. Ja... naturalnie jestem bardzo wdzięczna Meyerowi Isaacsonowi lekarzowi, lecz z Meyerem Isaacsonem jako człowiekiem, nie mogę nigdy być w przyjaźni. Winnam ci prawdę pomimo, że może tobie być przykrą.

— Tak, tak!

— Podczas mojej nieobecności wybadaj, ile mu jesteśmy winni. Przypuszczam, że teraz, kiedy się czujesz tak bardzo lepiej, nie pozostanie z nami wiecznie.

— Nie, rozumie się, że chciałby wyjechać. Mówił z wahaniem. Ze zwykłym egoizmem chorego człowieka znajdował, że dużo mu się należy. Dała mu teraz to poznać. Jak wiele był winien Isaacsonowi! Spojrzał na żonę. Jak wiele był winien i jej! Uczuł znów swą bezsilność, tak prawie, jak dziecko. I te dwie ludzkie istoty, na których się opierał, żyły w nieprzyjaźni... nie jawnej, lecz skrytej nieprzyjaźni. Nie wiedział do jakiego stopnia! Lecz Ruby mówiła mu nieraz o Meyerze Isaacsonie rzeczy... Wiedział również, że Isaacson nie ufał jej dawniej, i czuł, że nie ufa i teraz.

— Mogę zatem jechać? — zapytała.

Nie mógł rozsądnie się sprzeciwić. Pomyślał o jej długiem poświęceniu.

— Owszem, najdroższa, jedź. Lecz nie pojedziesz dzisiaj?

— Chciałabym. Wezmę z sobą tylko walizkę. Im prędzej wyjadę, tem prędzej wrócę.

— Za dwa dni?

— Za dwa dni.

— A gdzie zamieszkasz?

— U Shephearda.

— Nie lubię tego, że jedziesz sama. Chciałbym, żebyś miała pokojową.

— Zgadłeś! — zawołała.

— Co? zapytał zdziwiony.

— Nie chciałam o tem mówić, ale powiem. Czy mogę mieć znowu pokojową?

— To tego potrzebujesz! wyszukać pokojowej?

Uśmiechnęła się nieśmiało.

— Obchodziłam się bez niej doskonale, ale zawsze...

Od tej chwili prosił ją, błagał, żeby co prędzej jechała.

Zanim Isaacson nadszedł wszystko zostało postanowione. Kiedy się o tem dowiedział, rzekł tylko:

— Podziwiam Mrs. Armine, że się tak długo bez pokojowej obchodziła.

Wkrótce odszedł do swego pokoju i zamknął się w nim. Powiedział, że ma listy do napisania.

Lecz nie wysłał żadnego listu tego dnia.

Tymczasem Mrs. Armine przy pomocy jednego z Nubijczyków pakowała swoje rzeczy. Teraz, kiedy wreszcie czyniła coś z określonym planem, dziwiła się, że mogła znieść tak długo to życie wyczekiwania.

— Gdybym mogła wyjechać na zawsze! — myślała krzątając się po ubieralnym pokoju. — Gdybym mogła już nigdy nie zobaczyć mego męża, ani Isaacsona!

Z tą myślą stanęła na chwilę.

Przypuściwszy, że tak się rzeczywiście stanie! Przypuściwszy, że znajdzie Barondiego, powie mu wszystko, co się stało, przedstawi mu swoją mękę, poprosi go o zatrzymanie jej przy sobie. Będzie dobrym! Zastosuje się do jej życzenia, nie będzie jej narzucał swoich rozkazów. Byłby wielki skandal, lecz cóż z tego? Nie dbała o opinię publiczną. Pragnęła tylko uciec od wszystkiego, co jej przypominało Europę, dawniejsze życie; pragnęła zanurzyć się we Wschodzie i ukryć się w nim na zawsze. Dalsza przyszłość była dla niej niczem. Jedyną jej myślą, jedyną troską było uciec odrazu i otrzymać to, czego pragnęła, czego całą swą istotą nieustannie pożądała. Była opanowana jedną myślą, jak tylko kobieta jej temperamentu w krytycznym okresie swego życia opanowaną być może.

Nie powinna już powrócić. To będzie ostatni dzień z Niglem.

A tymczasem Isaacson siedząc na balkonie w swoim pokoju i paląc nargileh, rozmyślał. Nie był zupełnie pewny, lecz skłaniał się do przekonania, że ten wyjazd Bella Donny będzie ucieczką. Czy ma jej pozwolić wyjechać? Zamiast pisać listy namyślał się nad tem. Było może jego obowiązkiem nie dopuścić do tej podróży. Gdyby wszystko zostało kiedyś wyjawionem, cały świat mówiłby, że powinien był wystąpić. Lecz on nie dbał o świat. Myślał o swoim przyjacielu.

Kiedy skończył palić i wypuścił nargileh ze swych długich palców, postanowił, że pozwoli Bella Donnie wyjechać.

I tego wieczoru na krótko przed zachodem pocałowała swego męża, żegnając się z nim i zapytując się w duchu, czy go jeszcze zobaczy.

Poczem wyciągnęła rękę do Mayera Isaacsona.

— Do widzenia, doktorze! Proszę dobrze na niego uważać — rzekła.

Isaacson ujął jej rękę i znowu w tej stanowczej chwili, pomimo powziętego po południu postanowienia, nie mówił sobie w duchu: — czy mam ją puścić? lecz — czy ją wypuszczę? — I skutkiem tej ostatniej myśli chwycił jej rękę, jakby ją chciał zatrzymać. I nagle zobaczył w jej oczach wyraz, który w nich widział w sanctuarim w Edfu... wyraz przerażenia.

— Obiecujesz zabawić tylko dwa dni, Ruby? Obiecujesz? — dopytywał się Nigel.

— Obiecuję, Nigel — rzekła z oczami utkwionemi w Isaacsona.

Doktór puścił jej rękę. Odetchnęła i wyszła.

XX.

Po wyjeździe Mrs. Armine Isaacson doznał nagłej ogromnej ulgi. Kiedy spojrzawszy na zegarek przekonał się że pociąg do Kairu już odszedł, a w pół godziny później wrócił Ibrahim, oznajmiając, że „my lady wyjechała bardzo ładnie doprawdy" ucieszył się jak człowiek, który zrzucił z siebie wielki ciężar, lub więzień niespodzianie wypuszczony na wolność. Zrozumiał teraz w pełni, jak bardzo przymusowe towarzystwo Mr. Armine go przygniatało. Trudno mu było pojąć, a tembardziej sympatyzować z widocznym żalem Nigla po wyjeździe żony i pragnieniem jej prędkiego powrotu.

Nigel naturalnie nie szukał echa swej tęsknoty w Isaasonie, który ze swej strony starał się ukryć odczuwaną radość. Lecz, czy Isaacson lepiej grał swą rolę, czy też posiadał w wyższym stopniu zmysł obserwacyjny, dość, że czytał wyraźnie w duszy swego przyjaciela, podczas, gdy ten zgadywał tylko, lub podejrzywał jego uczucia.

Obiad ich zapowiadał się smutny. Wyjazd Mrs. Armine nietylko nie zmniejszył przedziału, jaki między obu mężczyznami panował, lecz go powiększył. Jednak wewnętrzna radość Isaacsona, jakkolwiek staranie ukrywana, wzięła górę. Bezwiednie Nigel zaczął topnieć. Isaacson skierował rozmowę, która się wciąż urywała, na jego zdrowie i Nigel powtórzył to, co już powiedział swej żonie:

— Dzisiaj czuję, że się budzę do życia.

— Dopiero dzisiaj? — zapytał doktór.

— Oh, czułem się ciągle lepiej i lepiej, ale dzisiaj, to jakby drzwi, które się wciąż zacinały, nagle stanęły otworem.

— Nie dziwię się. To nagłe uczucie polepszenia bywa oznaką rekonwalescencyi.

— Czy... czy nie następuje później pogorszenie? — zapytał Nigel z nagłym niepojem.

— Czasami przy gorączkowych chorobach głównie. Lecz co do ciebie, nie potrzebujemy się obawiać czegoś podobnego.

Ostatnie słowa, zdawało się, dały Niglowi do myślenia. Po paru minutach milczenia rzekł poważnie:

— Ale prawda? co mi było właściwie? Jaka to była choroba? Przez cały ten czas byłem tak przejęty moim stanem, że się ciebie o to nie spytałem.

— A może się pytałem? — dodał.

— Nie, nie zdaje mi się — odrzekł Isaacson tonem, który nie zachęcał do dalszej rozmowy o tym przedmiocie.

— Czy to było tylko porażenie słońcem? Jestem... prawie pewny, że nie.

— Nie mogę tego złożyć całkowicie na porażenie. Hartley nie miał zupełnej słuszności mojem zdaniem.

— A zatem? — pytał Nigel, zadowolony, że znalazł dobry temat do rozmowy.

— Widzisz, byłeś już niezdrów przedtem, zanim wyszedłeś na słońce, prawda?

— Tak, to ta kąpiel w Nilu pod Kons. Zdawało mi się, że wszystko od tego się zaczęło. Ale, wiesz, pomimo, że nie wspomniałem o tem nikomu, nawet tobie, myślę, że nie byłem już zupełnie zdrów przed tą kąpielą. Przypuszczam, że dlatego właśnie się przeziębiłem.

— To bardzo możliwe.

— Wsiadając na Lonlię czułem się doskonale. Wygląda tak, jak gdyby to miało jakąś styczność z tą łodzie. Mam wrażenie, że zdrowie zaczęło mi się psuć bardzo prędko po naszem odpłynięciu. Lecz zło postępowało tak stopniowo, że z początku nie zauważyłem tego. Kąpiel pogorszyła mój stan, porażenie dokonało reszty.

— Ah!

Isaacson nalał trochę wody Vichy do szklanki i zaczął wyciskać do niej sok z cytryny. Nigel mu się przypatrywał.

— Nie powiedziałeś mi ostatecznie, co to było — rzekł w końcu.

— To takie skomplikowane symptomaty.

— Że nie można ich określić żadną nazwą?

Isaacson wycisnął ostatnie krople cytryny, wziął serwatę i obtarł starannie swe długie, cienkie palce.

— Co z nazwy? — zauważył.

Spojrzał przez stół na Nigla.

— Nie chcesz mi powiedzieć? — rzekł Armine.

Obudziła się w nim ciekawość, czy też inne jakieś uczucie.

Tego nie mówię, lecz widzisz, my lekarze musimy być ostrożni. Nie możemy się narazić na zaprzeczanie samym sobie.

— Hartley tak, ale nie ty.

— Wykręcasz się! — zawołał nagle.

— Isaacson wypił wodę z cytryną. Odstawił spokojnie szklankę.

— Wykręcasz się — powtórzył Nigel — dlaczego?

— Czy ci nie dość, że powracasz do zdrowia? Co ci przyjdzie z tego, jak się dowiesz jaka to była choroba?

— Co mi przyjdzie? Lecz czy to nie całkiem naturalne, że chciałbym wiedzieć? Po co ta tajemnica?

Zatrzymał się. Nachylił się trochę nad stołem i rzekł.

— Czy moja żona wie?

— Nie mówiłem jej — rzekł Isaacson.

— Ale czy wie?

W głosie i w oczach, które patrzały teraz na Isaacsona było podejrzenie.

— Skąd mogę wiedzieć! Powiedziała mi, że przypuszcza, że to porażenie słońcem.

— To była niedorzeczność Hartleya. Hartley wbił jej to do głowy. Lecz od kiedy przybyłeś, zrozumiała, że było w tem coś więcej.

— Nie wiem.

Nigel czekał, jakby czekając obszerniejszej odpowiedzi, lecz Isaacson milczał. Obiad był skończony. Nigel wstał i pewnym, chociaż jeszcze ciężkim krokiem przeszedł do salonu.

— Czy będziemy siedzieli na tarasie?

— Jeżeli chcesz; ale musisz włożyć płaszcz na siebie. Pójdę go przynieść.

— Oh, nie...

Lecz Isaacson już wyszedł. Po chwili wrócił pomógł Niglowi nałożyć płaszcz, wziął go pod ramię i zaprowadził do fotelu, poczem okrył mu kolana pledem.

— Jesteś nadzwyczaj dobry dla mnie, Isaacson — rzekł Nigel łagodnie... — nadzwyczaj dobry. Jestem ci wdzięczny.

— Tak będzie dobrze.

— Właśnie mówiliśmy dzisiaj o tem. Ruby i ja. Mówiła, że nie możemy nadużywać twej dobroci, że nie możemy cię zatrzymywać teraz, kiedy już wylazłem z mojej biedy.

— Chce mnie się pozbyć. A zatem wracaj! — Myśl ta błysnęła Isaacsonowi, obalając zdanie, które sobie po części wyrobił.

— Oh, nie spieszno mi — rzekł obojętnie — Chcę cię doprowadzić do pełni sił.

— Tak, ale twoi pacyenci w Londynie!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa

Echa strzałów, które rozległy się we Lwowie, przypomniały nam znowu sprawę ukraińską i to w chwili, gdy Rada Ligi Narodów ma się zająć jej rozstrzygnięciem, to jest orzec o stosunku wschodniej części Małopolski do reszty naszego kraju.

Sprawę ukraińską, po zawarciu traktatu w Rydze i przyjęciu go do wiadomości przez cały świat, należałoby uważać za ostatecznie załatwioną i to w sposób zupełnie racyonalny, to jest na podstawie wzajemnego porozumienia między interesowanemi, w danym zatem wypadku Polską, Rosyą sowiecką i tą częścią Malorusi, która może sobie rościć pretensyę do nazwy Ukrainy, jeśli ona koniecznie ma widnieć na karcie Europy. Porozumienie to nastąpiło bez potrzeby uciekania się do pomocy rozmaitych egzotycznych rzeczoznawców.

Ale tymczasem wyłazi na wierzch druga Ukraina, zwana przez jej politykę zachodnią, sięgającą od Zbrucza po San, ewentualnie jeszcze dalej na zachód, o ile tam znajdują się poszczególne gminy, zamieszkałe przez Rusinów. Ta druga Ukraina, to Ukraina Petruszewycza i spółki, w której mają głos dawni wschodnio galicyjscy borbifaksy, w guście Staruchów, Kostiów Lewickich, Okunlewskich *et tutti quanti*, wychowanych na polskiej kulturze i na polskim chlebie za austryackie i niemieckie pieniądze. Ci, stosunkowo nam najbliżsi, są też największymi i najzagorzalszymi naszymi wrogami i prowadzą dalej politykę inspirowaną w dawniejszych czasach przez Wiedeń, a pośrednio i Berlin. Obecnie jest ich dążeniem wyodrębnienie wschodniej części naszej dzielnicy i utworzenie z niej niezależnego Państwa, pozostającego pod rządami ukraińskich pajdokratów, stanowiących wprawdzie znikomą mniejszość ruskiego społeczeństwa, lecz umiejących głośno krzyczeć i narzucać swą wolę reszcie swego narodu, za którego podają się przedstawicieli.

Ludność ruska tej części kraju to w dziewięćdziesięciu procentach włościanie, polityką się zupełnie nie zajmujący, a kierowani przez tych właśnie nowych Ukraińców, stworzonych w ostatnich dziesiątkach ubiegłego stulecia. Wiedeń, chcąc mieć w swem ręku broń przeciw Polakom, aby przypadkiem w byłej Galicyi, zanadto się nie rozpanoszyli, rozdmuchiwał też przy pomocy guldenów i koron „narodowe" uczucia ukraińskie, a dopomagały mu pruskie marki, w nadziei, że niemiecka ekspanzya rozszerzy się na Wschód aż po Kijów, a może nawet i do Odessy. Za rządów austryackich cieszyli się też galicyjscy Rusini nadzwyczajnymi względami rządu austryackiego i korzystali z tego w całej pełni na naszą szkodę. My, panowie na tej ziemi, byliśmy uważani stale za indywidua drugiej klasy, zbywano nas przeważnie tylko obietnicami, gdy tamtych smarowano miodem, a oni jeszcze krzyczeli, że dzieje się im „krywda" i wszędzie węszyli polską intrygę.

W tej atmosferze austryackiej cieplarni zrodziła się Ukraina, a w niej ananasy w guście Sieczyńskich i Fedaków. Znosząc cierpliwie ich wszelkie grymasy i ustępując im krok za krokiem, bo to przecież „nasi bracia", wychowaliśmy sobie na własnem łonie gada, który coraz otwarciej i śmielej występuje przeciwko swojemu żywicielowi, a ma to szczęście, że zawsze znajdzie opiekunów i przyjaciół, oczywiście nie bezinteresownych, lecz pragnących przy tej sposobności upiec swoją własną pieczeń, tanim kosztem, bez kłopotu i obawy poparzenia się.

I jak dawniej c. k. Ukraina miała stanowić dla Austryi przeciwwagę polskości i z roli swej przy umiejętnej reżyseryi wywiązała się bez zarzutu, tak dziś ma spełnić to samo zadanie, tym razem w interesie tych, którym na tem zależy, aby Polska musiała mieć oczy stale w tę stronę zwrócone i związane ręce. Niemcy prowadzą zatem dalej swą ukraińską politykę, a ręka w rękę idzie z nimi i Lloyd George, obawiający się, aby silna Polska wraz ze sprzymierzoną Francyą nie stały się na kontynencie groźnemi dla interesów angielskich. Podsyca się zatem obecnie z Londynu i Berlina aspiracye ukraińskie, prowodyrzy, mając za sobą takie poparcie, występują coraz otwarciej przeciw Polsce i nie tracą nadziei, że idea samodzielnej Ukrainy, jeśli nie została zrealizowana pod berłem któregoś z Habsburgów, doczeka się tego teraz pod dyktaturą Petruszewycza, protektoratem Lloyd'a George'a a po otrzymaniu arcypasterskiego błogosławieństwa renegata Szeptyckiego.

W chwili zatem, gdy sprawa Ukrainy zachodniej ma się znaleźć na porządku dziennym Ligi Narodów (interesują się tą sprawą przedewszystkiem Kanadyjczycy i mieszkańcy południowej Afryki, których przedstawiciele w Lidze Narodów w tej materyi głos zabierali), trzeba było dać znać o sobie światu, że Ukraina żyje i czeka na wyswobodzenie „z pod jarzma polskiego".

Wystąpił zatem Fedak, aby w imieniu byłych galicyjskich Ukraińców oświadczyć, że nie zgadza się na wprowadzenie w tej części kraju podziału na województwa, by zaś tem silniej zakonceptować swe niezadowolenie i zwrócić uwagę szerszego świata, użył zamiast słów kul rewolwerowych i to właśnie w chwili, gdy Lwów, uznając swą polskość, umieścił na Ratuszu Białego Orła!

W Londynie i Berlinie radość z tego powodu niebywała, ma się bowiem podstawę do twierdzenia, że ludność tę część kraju zamieszkująca, bynajmniej nie życzy sobie ścisłego zespolenia z Polską. A że wyrazicielem jej woli jest właśnie Fedak, jak zgodnie stwierdzają próżniak i niepoń, na to wielcy politycy, trzęsący losami świata z pewnością nie zwrócą uwagi i nie zajrzą w jego metrykę, z której dowiedzieliby się, że ma jeszcze mleko pod nosem.

Opowiadano sobie, że następstwem światowej wojny i zmienionych przez nią stosunków społecznych będzie położenie końca intrygom dyplomacyi, tymczasem pokazuje się, że ona występuje obecnie i to w daleko wstrętniejszy sposób niż poprzednio, ma bowiem za podkład najordynarniejszy interes. Obce wpływy stały się pośrednio przyczyną wypadków lwowskich, te same wchodzą w grę przy wrogich manifestacyach przeciw Francyi, których widownią były w ostatnich dniach Włochy. Wystąpiono tam brutalnie przeciw wojskowej misyi francuskiej, zapominając o tem, ile Włochy tak poprzednio, jak i w ciągu obecnej wojny mają do zawdzięczenia Francuzom. Gdyby nie oni, kto wie, czy istniałyby dziś Zjednoczone Włochy, oni także wyratowali w ostatnim czasie swych sojuszników, gdy w dolinie Padu losy ich były poważnie zagrożone, a inwazya niemiecko austryacka bliską była przedostania się w głąb kraju. Obecnie spotkały ich za to wdzięczność i uznanie, a doświadczył ich, i to dosłownie na swojej własnej skórze właśnie ten, który za Włochy krew przelewał.

Ale trudno!... Każda Teresa ma swoje interesa, ma je zatem i każde państwo, a jakich środków używa, aby dojść do celu, na to bynajmniej nie zwraca uwagi. Grunt, aby on był osiągnięty, mniejsza o to, w sposób uczciwy, czy nie.

Dyplomacya intryguje też w dalszym ciągu, mąci wodę na prawo i na lewo, a kieruje wszystkiem interes poszczególnych państw, które obecnie wybiły się na pierwsze miejsce. Mistrzami w tej dyplomatycznej robocie są obecnie Anglicy, a trzeba przyznać, że bardzo umiejętnie i sprawnie zabrali się do rzeczy i dzięki swym machinacyom są dzisiaj panami świata, trzęsąc nim, jak im się żywnie podoba, a wszystko w interesie angielskich kapitałów wszędzie zaangażowanych. W tej kreciej robocie, która podminowała cały świat, idą im na rękę Niemcy, których przedtem tak się Anglicy obawiali, a obecnie widocznie doszli do przekonania, że są to wprawdzie konkurenci, ale dziś dla nich nie przedstawiający niebezpieczeństwa. Stare przysłowie „Spotkał swój swego", da się do nich bardzo trafnie zastosować. Wiąże ich wspólny interes, a który wspólnik którego oszuka, to się pokaże dopiero w dalszym ciągu przy rozwiązaniu spółki. Na razie mają Niemcy w Anglikach bardzo gorliwych protektorów i dzięki temu nie tracą nadziei, że uda się im jeszcze zapanować nad światem. Ponieważ jednak do tego samego celu dążą i ich protektorzy, przyjść może, a nawet musi między nimi do katastrofy, ale na to trzeba trochę poczekać, aż Niemcom odrosną pazury, które im wyłamano, a angielskie nieco przytępieją.

Wspólnym interesem Anglii i Niemiec jest osłabienie Polski, dążą też do tego celu ręka w rękę i używają wszelkich możliwych środków, aby go osiągnąć.

Nie pomylimy się też bardzo, jeżeli zechcemy szukać związku między zamachem Fedaka a intrygami dyplomacyi zachodniej. Wszystko się na to składa, aby powiedzieć, że jest tak, a nie inaczej i że rewolwerem młodocianego ukraińskiego zbrodniarza kierowała obca ręka, której zależało na tem, aby w naszym kraju doprowadzić do jak największej dezorganizacyi i zaostrzyć jeszcze bardziej stosunek wzajemny między Polakami i Rusinami.

Zastanawiają się nad tem politycy rozmaitych odcieni, przeciw komu były skierowane strzały Fedaka, czy przeciw Naczelnikowi Państwa, czy też, jak stwierdza sam sprawca zamachu, przeciw wojewodzie Grabowskiemu, jako protest „Zachodniej Ukrainy", niezadowolonej z wprowadzenia ustroju wojewódzkiego we wschodniej części Małopolski. To drugie przypuszczenie wydaje się nam być śmiesznem, gdyby bowiem Fedak był naprawdę występował w tym duchu, byłby sobie mógł znaleźć daleko lepszą sposobność do wykonania swego zamiaru a nie potrzebował czekać na przybycie Naczelnika Państwa do Lwowa i na dzień, w którym to miasto stwierdza oficyalnie swą przynależność do Polski. Strzały, które rozległy się we Lwowie, skierowane były raczej przeciw polskiej państwowości, a miały za cel zwrócenie uwagi reszty świata, że Rusinom musi się tu dziać naprawdę wielka krzywda, skoro w tak energiczny sposób, doprowadzeni widać do ostateczności, upominać się muszą o swoje prawa. Dla naszych „przyjaciół" zachodnich woda na ich młyn, fachowi rzeczoznawcy, którym oddaną będzie do rozpatrzenia sprawa rozstrzygnięcia kwestyi wschodnio-małopolskiej, zyskali w ten sposób bardzo ważne atuty i nie zapomną z pewnością skorzystać z nich przy zielonym stoliku, gdzie się odbywa gra dyplomatyczna. Lloyd George, jeneralny reżyser przedstawień politycznych, wskaże na zamach Fedaka jako na objaw woli ludu, mogący zastąpić wszelkiego rodzaju plebiscyty.

Zdrowo myślący człowiek, choćby sobie łamał głowę nie wiedzieć jak długo nad tem, kto właściwie z dwóch jadących wówczas automobilem, miał paść ofiarą fedakowskiego protestu, nie zdoła wpaść na właściwy motyw tego czynu. Naczelnik Piłsudski niejednokrotnie już dał się poznać jako życzliwie usposobiony dla słusznych żądań ruskich, jemu więc kula się nie należała. Nieraz już zarzucano nawet Naczelnikowi, że zbytnie forytuje Rusinów, przez co pobudza ich do stawiania coraz dalszych żądań, powinniby zatem czuć wdzięczność dla jego osoby, a nie godzić na jego życie. Jeśli zaś strzały skierowane były przeciw województwom we wschodniej Małopolsce, jak utrzymuje Fedak, to cel, do którego były oddane, to jest wojewoda Grabowski, był też niefortunnie wybrany. Bo i cóż on winien, że Sejm uchwalił podział kraju na województwa, a jego mianowano lwowskim wojewodą?... A Sejm miał do tego zupełne prawo, uważając sprawę Ukrainy za definitywnie załatwioną z chwilą podpisania traktatu pokojowego w Rydze, gdzie między interesowanymi doszło do porozumienia. Innego jednak zdania są decydujące obecnie o losach świata czynniki, którym się wydaje, że bez ich wmięszania się żadna sprawa nie może być załatwioną. Dla nich sprawa Ukrainy wisi jeszcze w powietrzu i one mają zamiar wypowiedzieć o jej losach swe ostatnie słowo, które jak tyle już poprzednich, nie będzie dla nas zbyt pomyślnem. Dolewają zatem oliwy do ognia, intrygami swemi dodają Rusinom podniety do występowania przeciw nieuzasadnionym, wedle ich twierdzenia, aresztowaniom polskim, aby mieć potem pretekst do wetknięcia tam swego nosa i załatwienia sprawy po swej myśli, to jest po linii swych interesów.

Moralnych sprawców zamachu Fedaka szukać należy zatem dalej, a niewątpliwie się ich znajdzie. Powtarza się stara polityka z byłych czasów austryackich i jej metody. Fedak, idąc w ślady swego krewniaka, Sieczyńskiego, miał zamiar wyróść na narodowego bohatera, a potem, tak jak tamten, usunąć się w jakieś zacisze i tam żyć spokojnie, otoczony nimbem wielkości i poświęcenia dla sprawy rzekomo narodowej, która przecież jest tylko robotą na korzyść innych. Posiew austryacko-niemiecki wydaje obfite plony, a sprawa ruska nieraz jeszcze stanie się dla nas powodem ciężkich kłopotów i zmartwień, ci bowiem, którzy nadają obecnie ton ukraińskiej polityce, pewni tak znamienitego poparcia, nigdy nie ustaną w stawianiu coraz to dalszych i dzikszych pretensyi, a na zaspokojenie ich apetytów my, choć mielibyśmy najbardziej gołębie serce, zgodzić się nie możemy, gdyż tu rozchodzi się o nasze „być, albo nie być".

Z zamachu Fedaka, przeciw komukolwiek on był skierowany, odnieść możemy jednakowoż i powinniśmy pewną korzyść. Tym z pośród nas, a takich zwłaszcza w zachodniej części kraju nie brak, którzy ronili łzy nad dolą Rusinów, gnębionych rzekomo przez żywioł polski i gotowych spieszyć im z najdalej idącą pomocą, otworzą się może raz nareszcie oczy, rzekomi nasi bracia, to nasi najwięksi wrogowie, tem niebezpieczniejsi, że zbyt blisko z nami spokrewnieni, a będący zawsze i wszędzie powolnem narzędziem naszych najzaciętszych wrogów. Rękę, wyciągniętą do zgody gotowi uchwycić, lecz w drugiej dłoni trzymają sztylet, którym przy pierwszej lepszej sposobności godzą w samo serce. Sztylet ten wetknął im w rękę nasz odwieczny wróg i on nim kieruje. Zbytnie sercem kierować się dziś nie można, zresztą, ofiarowując je komuś, trzeba wiedzieć, czy na to zasługuje. Trzeba go zatem znać z osobistego z nim współżycia, a nie z opowiadania, lub przedstawienia sobie, jakim mógłby być, gdyby był w samej rzeczy sobą, a nie manekinem wprawianym w ruch obcą i do tego wrogą nam ręką.

rem na czele, senat akademicki i profesorowie uniwersytetu, członkowie Izby Handlowej pod przewodnictwem wiceprez. p. Winiarza, kongregacya kupiecka lwowskie Tow. kupców i wiele innych zrzeszeń. Na kilka minut przed godziną 12 przybyli posłowie sejmowi pod przewodnictwem marszałka Trąmpczyńskiego, reprezentant rządu, kierownik ministerstwa handlu i przemysłu dr. Strassburger, posłowie francuski, bułgarski, norweski, rumuński i serbski. Przybyli ponadto prez. sądu Hawel, dyrektorzy banków pp. Szarski, dyr. Grodzki, dr. Garski i Weintraub, dyr. Tomicki, b. pos. Dłuosz, dyr. Przybysławski, ks. Czartoryski, wicemin. rolnictwa Chmielowski, del. ministerstwa spraw zagranicznych dr. Loewenherz i wielu wiele innych. W kilka minut po godz. 12 tej przybył na miejsce entuzyastycznie witany Naczelnik Państwa, w towarzystwie swoich adjutantów. Muzyka wojskowa zagrała hymn narodowy, za nim przybyli prez. Neuman i arcybiskup Bilczewski.

Uroczystość rozpoczęła się przemową prezydenta miasta Neumana, który powitał serdecznie przybyłych, poczem po odśpiewaniu pieśni przez chór „Bard“, imieniem Komitetu Wykonawczego zabrał głos prezes jego dyr. Tarski, następnie zaś kierownik ministerstwa Handlu i Przemysłu Dr. Strassburger.

Prez. Neuman wręczył następnie Naczelnikowi Państwa złote nożyczki, któremi tenże rozciął biało-amarantową wstążkę zamykającą dostęp do wnętrza Pałacu Sztuki, „Bard“ ponownie zaśpiewał, a Naczelnik Państwa w towarzystwie dyr. Tarskiego i prezydenta Neumana rozpoczął przegląd okazów wystawionych, zatrzymując się dłużej w oddziale włókienniczym, wystawionym przez fabrykantów



Otwarcie „Targów Wschodnich“ we Lwowie: Naczelnik Państwa zwiedza pawilony w towarzystwie dyrektora Targów, Tarskiego. Fot. M. Münz, Lwów.





Otwarcie „Targów Wschodnich“ we Lwowie: 1) Pawilon Polskiego Banku Przemysłowego. 2) Pawilon Główny z eksponatami z dziedziny przemysłu chemicznego. Fot. M. Münz, Lwów.

łódzkich i warszawskich, oraz w pawilonie mieszczącym wyroby związku tekstylnego w Bielsku, poczem zwiedził pawilony Polskiego Banku Przemysłowego, Ziemskiego Banku Kredytowego, pawilon „Targów Wschodnich“, Nafty i cały szereg innych, zatrzymując się prawie półtorej godziny na placu. Między innymi odwiedził też pawilon prasy, dla której okazał duże zainteresowanie, zapytując o różne wydawnictwa, zgromadzone dość licznie na tej wystawie. O godzinie 2 giej Naczelnik państwa, oraz dygnitarze i posłowie opuścili Plac Wystawowy, udając się do Kasyna Narodowego na śniadanie, wydane przez związek Banków.

W przyjęciu wzięli udział przedstawiciele państw zagranicznych, posłowie i inni goście, ks. arcyb. Bilczewski, wojewoda Grabowski, prezydyum miasta, rektor Kasprowicz, reprezentanci urzędów, dyrektorowie wszystkich banków, dyrekcya biura „Targów Wschodnich“, przedstawiciele prasy i inni. Umieszczona na galeryi orkiestra powitała Naczelnika Państwa hymnem narodowym, następnie odegrała szereg pieśni i utworów muzycznych.



Otwarcie „Targów Wschodnich“ we Lwowie: Pawilon „Nafta“. Fot. M. Münz, Lwów.

O godz. 6 tej wiecz. odbył się oficyalny obiad w sali ratuszowej wydany przez prez. Neumana i jego małżonkę. W czasie obiadu prez. Neuman wzniósł zdrowie Naczelnika Państwa, wicepr. dr. Stahl toastował na cześć Sejmu w ręce marszałka Trąmpczyńskiego, następnie przemawiali: marsz. Trąmpczyński, dwaj przedstawiciele Francyi, reprezentant prasy prez. Lubicki, oraz wicepr. dr. Chlamtacz na cześć mocarstw sprzymierzonych.

Uroczystość otwarcia „Targów Wschodnich“, święcił Teatr operą Moniuszki. W lożach zasiadł Naczelnik Państwa, posłowie i ambasadorowie obcych państw. Hymn powitał wchodzącego do loży Naczelnika Państwa, a publiczność dawała w długo niemilknących wołaniach i oklaskach wyraz swej radości.

W nowej zupełnie obsadzie dano naszą nieśmiertelną „Halkę“, której nigdy może bardziej nie odczuwaliśmy silniej jako opery narodowej, niż w tym dniu uroczystym, gdy miasto, po burzach i mękach ocknęło się do czynnego bogatego życia, gdy w loży zasiadł pierwszy Naczelnik odrodzonego państwa.

Wieczorem po przedstawieniu w teatrze zebrała się elita towarzystwa lwowskiego w salonach wojewody p. Grabowskiego. Około godz. 11-tej zjawił się Naczelnik Państwa otoczony przedstawicielami wojskowości, Rządu i Sejmu powitany entuzyastycznie przez obecnych. Na galeryi odegrano hymn narodowy. Mimo oficyalnej formy, zebranie miało charakter serdeczny i pogodny i przeciągnęło się do późna.

Nastroju, jaki wszędzie panował, nie zamąciła wiadomość o zamachu Fedaka, która dotarła tym czasem tak do teatru, jak i na salony wojewódzkie. Naczelnik Państwa, który szczęśliwie uniknął tak groźnego niebezpieczeństwa, był przedmiotem tem gorętszych owacyi ze strony wszystkich, bez względu na zapatrywania polityczne.

Wojewoda lwowski.

Zamach Fedaka zwrócił oczy całej Polski na osobę kierownika lwowskiego województwa, wojewodę Kazimierza Grabowskiego, który stał się ofiarą jego zbrodniczego czynu, podyktowanego rzekomą troską o losy Ukrainy. Strzały skierowane do samochodu, w którym zajęli miejsca Naczelnik Pań



Otwarcie „Targów Wschodnich" we Lwowie Pawilon fabryki fajansów „Pacyków".
Fot. M. Münz, Lwów.

stwa i wojewoda Grabowski, a przeznaczone, jak sam Fedak utrzymuje dla tego ostatniego, zraniły wojewodę na szczęście bardzo lekko, tak, że już w najbliższym czasie obejmuje napowrót swe urzędowanie.

Wiadomość o zamachu wywołała w kraju łatwo zrozumiałe wrażenie i oburzenie przeciw tym, którzy używają takich środków przy upominaniu się o swe rzekome prawa, a ofiara zamachu, wojewoda Grabowski stał się przedmiotem ogólnego współczucia, zwłaszcza, że cieszy się uznaniem i sympatyą jeszcze z czasów poprzednich, gdy jako austryacki urzędnik spełniał swe ciężkie obowiązki z prawdziwym pożytkiem dla kraju i szczerem oddaniem się dla polskiego społeczeństwa. Powołanie go na zaszczytne, choć trudne stanowisko wojewody lwowskiego, powitano też z radością, której dowody znajdujemy w notatkach pism lwowskich z okazyi objęcia przezeń urzędowania z początkiem września b. r.

Wojewoda Kaz'mierz Grabowski jest Lwowianinem. We Lwowie ujrzał światło dzienne w 1866 roku, tam ukończył gimnazyum i uniwersytet, tam rozpoczął swą karyerę urzędniczą, jako praktykant przy namiestnictwie.

Przeszedłszy do sądownictwa w charakterze auskultanta przy sądzie apelacyjnym we Lwowie, po złożeniu egzaminu sądowego, zajął stanowisko sędziowskie w Cieszanowie.

Po upływie pewnego czasu jednak powrócił do służby politycznej już w charakterze komisarza, by niebawem zająć posterunek starosty w Mielcu, gdzie przez lat sześć zawiadował sprawami powiatu z powszechnem władzy przełożonej i ludności zadowoleniem.

Powołany do Namiestnictwa jako radca, objął jeden z najtrudniejszych resortów, departament gminny.

Wybitne zdolności, jakie ujawnił na wszystkich poruczonych mu stanowiskach, sprawiły, że w r. 1916, jako radca dworu, mianowany został szefem departamentu galicyjskiego w austryackiem ministerstwie spraw wewnętrznych i urząd ten piastował do czasu rozpadnięcia się Austryi.

Poczem — już z ramienia Rządu polskiego — likwidował poruczony mu dział spraw polskich w Wiedniu, a we wrześniu 1918 r. powołany został w skład Trybunału Najwyższego w Warszawie, sprawującego analogiczne funkcye, jak ongi Trybunał administracyjny w Wiedniu.

Wreszcie dnia 23 kwietnia mianowany został wojewodą lwowskim i swój wysoki urząd objął w dniu 1 września b. r.

Wobec niełatwych zaprawdę staje zadań pierwszy w odrodzonej Polsce włodarz ziemi lwowskiej — ale społeczeństwo ufa niezłomnie, iż nie przerosną one jego sił i zdolności i że nietylko sam kierować się będzie hasłem: *Salus Reipublicae lex suprema*, lecz potrafi również ogół nagiąć do tej zasady.

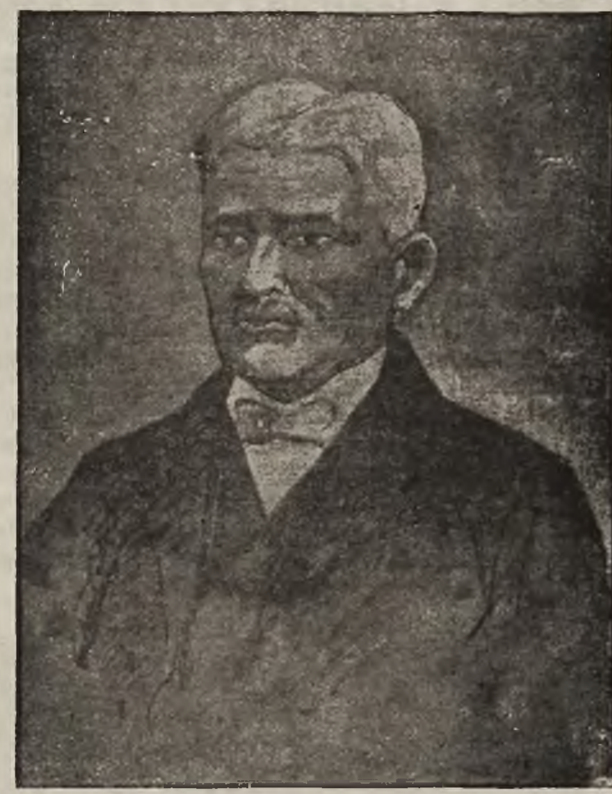
Że ciężkie i trudne czeka go zadanie, wiedział o tem dobrze wojewoda Grabowski i dlatego niechętnie przyjął ofiarowane mu stanowisko. Troska o dobro kraju, podyktowana jego obywatelskiem poczuciem, kazała mu jednak pospieszyć na przeznaczony posterunek, na którym już w pierwszym miesiącu urzędowania, dosięgła go kula ukraińskiego mordercy. Incydent ten nie złamie przecież jego energii, owszem, stanie się jeszcze bodźcem do rozwinięcia tem żywszej działalności dla kraju i narodu.



Po zamachu Fedaka: Samochód Naczelnika Państwa uszkodzony strzałami Fedaka.
Fot. M. Münz, Lwów.

Po zamachu Fedaka.

Dwa tygodnie niespełna mija od chwili, gdy przed lwowskim Ratuszem rozległy się strzały, skierowane ręką Stefana Fedaka w stronę samochodu, wiozącego Naczelnika Państwa i wojewodę Grabowskiego, a dotąd szerszy ogół nie wie, czy było to następstwem, jak początkowo utrzymywano, jakiegoś szeroko rozgałęzionego spisku ukraińskiego, czy też pomysł ten zrodził się w głowie młodocianego zbrodniarza, chcącego w ten sposób odegrać rolę bohatera narodowego. Fedak utrzymuje stale, że wrogich zamiarów wobec osoby Naczelnika Państwa nie miał, a kule jego browning przeznaczone były dla wojewody. Jako motyw zbrodni podaje zniechęcenie do życia, wywołane chorobą weneryczną, której nabawił się na Huculszczyźnie w czasie swej służby w armii ukraińskiej. Dolegała mu ona tak ciężko, że postanowił rozstać się z tym światem, ale, jak sam dodaje, chciał „ze sobą zabrać kogoś". Wybór jego padł nieszczęściem na wojewodę Grabowskiego, chciał bowiem widocznie pozostawić po sobie w swym



Wojewoda lwowski: Kazimierz Grabowski, ofiara zamachu Fedaka

narodzie pamięć gorącego patryoty, który nawet w tak ciężkiej chwili, jakiem jest rozstanie się z tem życiem, nie zapomina o jego losach, występując w obronie „krzywd", jakie mu się dzieją.

Śledztwo, jakie władze lwowskie prowadzą przeciw mordercy i ewentualnym jego wspólnikom, nie zdołało dotąd ustalić właściwych przyczyn zamachu, w każdym razie dostarczyło materyału do stwierdzenia, że Ukraińcy rozwijają na naszym gruncie robotę destrukcyjną, wysoce szkodzącą społecznemu porządkowi i równowadze. Otwarły się nareszcie oczy naszym władzom na antipolskie tendencye, dotąd zupełnie jawnie i bezkarnie głoszone przez pisma ukraińskie, jakoteż na przekraczanie zakresu swego działania przez różne ruskie stowarzyszenia, do czego dotąd nie przywiązywano jakoś większej wagi. Zabrano się zatem, może nieco późno, do poskromienia domowego wroga, tem właśnie niebezpieczniejszego, że jest domowym.

Osoba Fedaka, to bynajmniej nie materyał na bohatera. Próżniak i lekkomyślny, przez własną swą



Po zamachu Fedaka: Sprawca zamachu, dwudziestoletni Stefan Fedak, syn znanego lwowskiego ukraińskiego działacza. Fot. M. Münz, Lwów.

rodzinę nazywany „batiar", szkół nie ukończył, obracał się zaś zawsze w gronie indywidyów o bardzo podejrzanej kondULcie. Jako frekwentant jakiegoś kursu wojskowego we Wiedniu, wstąpił następnie w szeregi armii ukraińskiej Petlury, po opuszczeniu których zbijał dalej lwowskie bruki i nikt prawdopodobnie nie byłby sobie nim zaprzątał głowy, gdyby nie jego zamiar pójścia w ślady Siczyńskiego i otoczenia się aureolą „bohaterstwa" i poświęcenia dla sprawy narodowej. Celu nie osiągnął, męczennikiem nie został, rzekome bowiem zlinchowanie go przez rozdrażnioną publiczność i posiekanie szablami policyantów, nad czem pisma ukraińskie roniły łzy krokodyle, okazuje się conajmniej przedwczesne, gdyż jak donoszą ostatnie wiadomości, nadeszłe ze Lwowa, przychodzi zupełnie do zdrowia i niewątpliwie wzdycha, aby się jak najrychlej znaleźć na wolności. Co się jednak udało Siczyńskiemu, dzięki poparciu Wiednia, to nie powiedzie się Fedakowi, który powinien i musi ponieść zasłużoną karę. Sprawie ukraińskiej zbytnio się nie przysłużył, zwrócił natomiast uwagę na działalność wojującej Ukrainy, nakazując Polakom mieć się przed nią na ostrożności i strzedz pilnie swych poważnie zagrożonych interesów.

Śledztwo, toczące się energicznie we Lwowie, celem przygotowania materyału do postawienia Fedaka przed sądem przysięgłych wykazało między innemi, że także i Ukraińcy biorą żywy udział w szerzeniu komunizmu na ziemiach polskich, zwłaszcza zaś w środowiskach przemysłowych na zachodnich naszych kresach. Rozprawa odbędzie się prawdopodobnie jeszcze w październiku.

W toku śledztwa sfotografowano samochód, którym krytycznego wieczoru jechał Naczelnik Państwa z Ratusza do teatru. Gruba tafla szklana, stanowiąca tylną jego ścianę wykazuje ślady dwu kul, które ją na wylot przebiły. Kule te zraniły wojewodę



Zaślubiny Venizelosa: Archimandryta grecki, dr. Pagonis, po uwieńczeniu młodej pary.

Grabowskiego, ciężej od nich jednak odłamki szkła. Sporządzeniem fotografii zajęła się na polecenie lwowskiej policyi znana tamtejsza firma fotograficzna M. Münz, z której również pochodzi podobizna Fedaka.

Zgon ulubienicy Krakowa.

Żałobna kronika zwiększa się coraz bardziej nazwiskami osób, których zgon dotknął boleśnie szerokie koła naszego społeczeństwa. Śmierć zbiera ofiary na prawo i na lewo, nie oszczędza nikogo, nie imponują jej znaczenie, majątek i zaszczyty, nawet największy mocarz nie oprze się jej i nie wyprosi, gdy stanie przed nim i powie: „Teraz kolej na ciebie!"... Smutna to konieczność, czekająca każdego, wobec niej jesteśmy wszyscy równi.

Niemal każdy dzień przynosi nam wiadomość o zgonie jakiejś osobistości, którą żegnamy ze łzą prawdziwego żalu. Do ich rzędu zaliczyć musimy śp. Paulinę Wojnowską, byłą artystkę dramatyczną krakowskiego Teatru miejskiego, a następnie lwowskiego. Zmarła we Lwowie w ubiegłym tygodniu, już jako emerytka, w 73 roku życia, związanego ściśle z dziejami sceny polskiej z ostatnich lat dziesiątków.

Któż z nas starszych nie wspomina z uznaniem i uwielbieniem tej niezrównanej artystki z czasów, gdy za dyrekcyi Koźmiana, Gliksona, Kotarbińskiego i Pawlikowskiego stanowiła ozdobę naszej sceny, na której wybiła się na bezsprzecznie pierwszą w Polsce przedstawicielkę ról charakterystycznych. Występy jej w Krakowie tak w „starej budzie" przy Placu Szczepańskim, jak i w nowym gmachu, to przez długi szereg lat jedno pasmo jej scenicznych tryumfów. Jeśli o kimś z grona artystów dramatycznych można powiedzieć, że jest ulubieńcem publiczności, to na miano to zasłużyła sobie w całej pełni śp. Wojnowska. Talent jej i zalety sceniczne umiała też cenić tak dyrekcya teatru, jak krytyka i publiczność. Każde pojawienie się jej na scenie witane było salwami oklasków, a dowodem sympatyi, jaką się cieszyła, były jej benefisy, w czasie których przesadzano się w wyrażeniu jej uznania.

A zasłużyła sobie na to w zupełności, każda bowiem jej rola była tak doskonale opracowaną, że stanowiła prawdziwe arcydzieło sztuki aktorskiej. Była ona znakomitą przedstawicielką charakterystycznych ról, tak w swojskich jak i obcych sztukach, a w każdą z nich potrafiła wlać tyle życia i naturalnego humoru, że śmiało mogła była szukać laurów i na pierwszorzędnych scenach zagranicznych. Sp. Wojnowska zżyła się przecież z tym starym Krakowem, a opuściła go dopiero w r. 1904., spiesząc do Lwowa na wezwanie Pawlikowskiego, tego wytwornego znawcy prawdziwych talentów. Od tego czasu pozostała po niej na scenie krakowskiej luka, zastąpić się nie dająca, jej następczynie starały się pójść w jej ślady, nie udało się im jednak osiągnąć tego stopnia doskonałości, jaką, zdobyła ich poprzedniczka.

Lwów przyjął ją również gorąco i uznaniem swem darzył aż do czasu ostatnich występów, co jednak nie zmniejszało tęsknoty za ukochanym Krakowem, a jedynem jej marzeniem był powrót w jego stare mury.

Usunąwszy się ze sceny z powodu podeszłego wieku, pozostała we Lwowie i tam też zakończyła swe życie, zapisawszy chlubnemi głoskami swe nazwisko w dziejach polskiej sceny.

Zaślubiny Venizelosa.

Wybitny polityk grecki, Venizelos, poniósłszy porażkę, gdy naród, wbrew jego usiłowaniom i dążeniom, oświadczył się za powrotem króla Konstantyna, opuścił swą ojczyznę i za miejsce swojego stałego pobytu obrał Londyn. Przyjęto go tutaj bardzo życzliwie, był on bowiem zawsze gorącym poplecznikiem interesów angielskich, a Anglia przemawiała przez jego usta, gdy sprzeciwiał się powrotowi Konstantyna. Z niechęcią tylko zgodził się na plebiscyt, znając dobrze monarchistyczne przekonania swych ziomków i jak gdyby zgóry przeczuwając, że w tej grze rozstrzygającej przegra stawkę.

I nie zawiódł się. Naród prawie jednomyślnie oświadczył się za powrotem króla, Konstantyn odbył tryumfalny wjazd do Aten, a „tygrys grecki", jak go dziś nazywają, opuścił niewdzięczną ojczyznę, nie chcąc okazać się posłusznym jego woli. Na pamiątkę owych dni, gdy samodzielnie rządził Grecyą, zabrał ze sobą złoty wieniec za zasługi obywatelskie, ofiarowany mu jako „ojcu ojczyzny" przez zwolenników politycznych i przyjaciół.

W Londynie doszedł widocznie do przekonania, że praca na niwie politycznej nie zawsze przynosi takie plony, jakie się zebrać pragnęło, zerwał też z polityką i od tego czasu głucho było w świecie o tym mężu stanu, którego nazwisko niedawno jeszcze temu, tak głośnem odbijało się echem po całym świecie. Dopiero w ostatnich czasach przypomniał się znów opinii publicznej, tym razem jednak nie w złotym wieńcu za zasługi obywatelskie na głowie, lecz w zwykłym małżeńskim, jakim wedle wschodniego obrządku wieńczy się nowożeńców. Zmęczywszy się polityką, usunął się Venizelos w zacisze domowego ogniska, a ponieważ ono, aby nie wygasło, musi mieć swą kapłankę, zaręczył się z panną Heleną Schilizzi.

Ślub młodej pary odbył się w Londynie w połowie września. Piętnastego września wzięli państwo młodzi cywilny ślub w myśl angielskich praw i zaciągnięci zostali do ksiąg metrykalnych kościoła św. Pankracego, następnego dnia odbyła się ceremonia kościelna wedle wschodniego obrządku, której dopełnił archimandryta grecki, dr. Pagonis. Akt



Zgon ulubienicy Krakowa: Sp. Paulina Wojnowska, b. artystka dram. Teatru krakowskiego i lwowskiego.

ten miał miejsce w Highgate u p. Artura Cronefielda, przyjaciela nowożeńców. U stóp wspaniale przystrojonego ołtarza stanęli nowożeńcy, w towarzystwie dwu świadków, trzymających w ręku zapalone świece woskowe, zgromadziło się bardzo wiele osób z londyńskiej greckiej kolonii i angielskich przyjaciół. Archimandryta poświęcił następnie dwa wieńce, połączone ze sobą czerwoną wstęgą i włożył je na głowę nowożeńców, co we wschodnim obrządku zastępuje miejsce wiązania rąk stułą. Następnie uformował się pochód gości weselnych ze świadkami na czele, który procesyonalnie okrążył trzykrotnie ołtarz i państwa młodych, związał nych ze sobą symbolicznie szarfą, łączącą oba wieńce.

Kącik humorystyczny.

Zmiana kolorów.

Mając „stałe zasady",
Uznawał też racyę,
Że warto polityczną
Zmieniać oryentacyę.

Początkowo bezbarwny,
Po tem zaś czerwony,
Gdy wstąpił do ludowców,
Był jak ruń zielony.

Wysługiwał się chłopom,
Pewny ich protekcyi,
Witos go obiecywał
Zrobić szefem sekcyi.

Dziś Witosa już niema,
On pożółkł z żałości
Psy wieszając na chamskiej
Czarnej niewdzięczności.

(„H. Polski")

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Kowalskiego.